NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 16 września 1905 r. Nr. 38.

Rewolucya w Japonii.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Rewolucya w Japonii.

(Do illustracyi tytułowej).

Głównym punktem obrad w czasie rokowań pokojowych w Portsmouth było odszkodowanie wojenne. W Japonii nie chciano ani słyszeć o pokoju, w którymby Rosya nie przyznawała Japonii odszkodowania; Rząd japoński uważał kontrybucyę za warunek, *sie qua non*. Chodziło głównie o to, że ludność obawiała się, czy w razie nie otrzymania kontrybucyi, rad będzie wypłacał rodzicom poległych na polu walki, pensyę.

To też, kiedy z Portsmouth nadeszła wiadomość, że pokój zawarto, jedynie wskutek zrzeczenia się przez Japończyków odszkodowania wojennego, w Japonii zawrzało jak w ulu. Cały lud japoński powstał jak jeden mąż, aby zamanifestować swoje niezadowolenie. Głównym terenem demonstracyi było Tokio. Olbrzymie tłumy przeciągały ulicami, niosąc, na znak żałoby, sztandary, owinięte krepą, Przywódcy wygłaszali rewolucyjne mowy, wzywając ludność do wysłania telegramów do marszałka Ojamy, aby nie zgodził się na pokój, ale dalej wojnę prowadził. Przeciw demonstrantom wysłał rząd wojsko i policyę. To rozjątrzyło jeszcze bardziej tłumy, które rzuciły się na budynki rządowe, na kościoły katolickie i poczęły je demolować. Dom, w którym się mieściła redakcya rządowego dziennika „Kokumin“ zniszczono zupełnie. Zaburzenia trwały przez kilka dni, wzburzenie rosło z każdą godziną; wreszcie udało się jednak rządowi zgnieść rewolucyę. Zaburzenia ustały, ale ludność japońska wrze, rewolucya wisi w powietrzu i na nowo może wybuchnąć.

Ilustracya nasza przedstawia epizod zaburzeń w Tokio, mianowicie chwilę, kiedy tłum demoluje redakcyę dziennika „Kokumin“.

Sprzedaż taniego mięsa we Lwowie.

Drożyzna jaka w ostatnich miesiącach zapanowała we Lwowie, doprowadziła do tego, że magistrat musiał się wziąć do tej sprawy i przez skuteczną konkurencyę położyć tamę dalszemu rozrostowi cen. Szczególnie podniosły się ogromnie ceny mięsa, którego kilogram kosztował przeszło dwie korony. Zważywszy, że w miastach mięso jest głównym artykułem spożywczym, drożyzna ta dała się wszystkim porządnie we znaki. Poczęto sprawę tę omawiać obszernie w dziennikach, aż przyszła wreszcie pod obrady rady miejskiej, a kiedy rzeźnicy w żaden sposób nie chcieli zgodzić się na zniżenie cen, magistrat postanowił wprowadzić do Lwowa sprzedaż mięsa z prowincyi, znacznie tańszego i w ubiegły czwartek myśl tę wprowadził w czyn.

Na placu strzeleckim urządzono trzy stragany dla trzech kupców z Nawaryi. Przed straganami umieszczona jest tablica z napisem: „*Sprzedaż mięsa z prowincyi*“, na każdym zaś straganie wywieszono cennik, obowiązujący do końca września, z cenami nieprzekraczalnemi, co też znaczy, że sprzedającemu nie wolno absolutnie żądać cen wyższych. Różnica w cenach jest uderzająca, bo dochodzi na pewnych gatunkach mięsa do 40 centów na kilogramie.

Ruch około tych straganów jest niebywały; prócz kupujących bowiem znajduje się olbrzymia ilość takich gospodyń, które lubią się gapić na kupujących, oraz takich, którym się zdaje, że mięso z prowincyi jest gorsze od lwowskiego. Nie wiedzą one o tem, że dotychczas nieraz kupowały w sklepach lwowskich rzeźników tosamo mięso, sprowadzane przez nich z prowincyi, tylko po znacznie wyższej cenie.

Miasto, konkurując e w ten sposób z lwowskimi rzeźnikami, poczyniło kupcom prowincyonalnym daleko idące udogodnienia. Kontrola sanitarno-weterynaryjna nad mięsem z prowincyi jest urządzona tak, że zdrowotność tego mięsa nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Ilustracya nasza, którą obok zamieszczamy, przedstawia ruch na placu Strzeleckim, w pierwszym dniu sprzedaży mięsa prowincyonalnego.



Dziennikarze w Portsmouth: Grupa korespondentów dziennikarskich, zebranych podczas konferencyj pokojowych.



Fot. M. Münz. Lwów.

Sprzedaż taniego mięsa we Lwowie: Ruch na placu strzeleckim koło straganów z mięsem prowincyonalnem w pierwszym dniu po otwarciu.

Dziennikarze w Portsmouth.

Konferencye pełnomocników pokojowych w Portsmouth, ściągnęły do tej mieściny amerykańskiej nietylko mnóstwo ciekawych, a mogących sobie pozwolić na to bogaczy amerykańskich i europejskich, ale także mnóstwo dziennikarzy, którzy tam mieli pole otwarte do okazania swego sprytu i swych

zdolności. Wszystkie prawie redakcye pism amerykańskich wysłały tam swoich korespondentów, z Japonii przybyło ich dwunastu, z Rosyi zaledwie dwóch, z redakcyi „Słowa" i „Rusi". Ci to korespondenci utrzymywali swojemi relacyami przez czas obrad cały świat w napięciu. Ich wróżby i horoskopy komentowano w najrozmaitszy sposób we wszystkich pięciu częściach świata. Im który z nich był sprytniejszy, im więcej zdołał się dowiedzieć szczegółów, im lepiej umiał wyciągać wróżby z interwiewów, tem większe odnosił sukcesy, a dziennik jego był tem więcej rozchwytywany.

Dziennikarze amerykańscy spowodowali fakt, że sympatye Amerykanów w ostatnich czasach były po stronie Rosyan. Przyczyną tego była z jednej strony przesadna nawet czasami uprzejmość Wittego, który szeroko z nimi o przebiegu rokowań rozprawiał, z drugiej strony nieprzystępność Japończyków, którzy nie chcieli gadać, ale milczeli, jakby im usta zamurowano. Z tej przyczyny znienawidzili Japończyków dziennikarze, a uczucia ich podzieliła wkrótce cała prawie Ameryka. Najlepszy to dowód, jaką potęgą jest prasa i co prasa zrobić może.

Załączamy obok fotografię, przedstawiającą grupę dziennikarzy wszystkich krajów, zebranych w Portsmouth w czasie rokowań pokojowych.

Sląskie dzieci w Krakowie.

Nic nie podtrzymuje tak silnie ducha narodowego, nic silniej nie utrwala, zwłaszcza w młodocianych sercach i umysłach, miłości kraju—jak masowe pielgrzymki do świętych, lub historycznych miejsc, czczonych przez cały naród. Poznanie naoczne pamiątek i związanych z nimi faktów historycznych, podań i legend — poucza dziatwę z pewnością stokroć lepiej niż najbarwniejsze opisy i illustracye książek szkolnych. Rozumieją to dobrze sami pedagogowie i organizatorzy wycieczek młodzieży po kraju.

Gremialna taka wycieczka nawiedziła w ubiegłym tygodniu Kraków. Dzieci śląskie pod przewodnictwem swych nauczycieli poznały przez dwa dni pobytu najcelniejsze pamiątki dawnej naszej stolicy, poznały krakowski lud, który z otwartemi rękoma przy dźwiękach „Harmonii" witał na dworcu młodziutkich pątników. Dzieci zwiedziły kościoły, Wawel, Kopiec Kościuszki, śpiewały patryotyczne pieśni i słuchały opowiadań o wielkich wodzach, dobrych królach i świętych Pańskich. Kwaterę urządzono im u OO. Misyonarzy i w zabudowaniach dawnej kliniki przy ul. Kopernika. Śniadanie spożywała śląska dziatwa w krakowskich mleczarniach, obiad zaś w taniej kuchni ludowej.

Piękna pogoda sprzyjała wycieczce, przyczyniając się do spotęgowania wzniosłych wrażeń, które nieprędko zapewne zatrą się w pamięci i sercach dziecięcych.

W niniejszym numerze podajemy grupę dziatwy śląskiej wraz z ich przewodnikami zebraną u stóp pomnika Kościuszki w Parku Dra Jordana.

Talizman Kuropatkina.

„Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi" — powiada przysłowie, a dowody tego widzimy na każdym kroku. Najwspanialsze zamysły i przedsięwzięcia człowieka, paraliżują nieraz przeszkody drobne, ale często te drobne przeszkody obracają w niwecz jego najświetniejsze nadzieje.

Pamiętamy wszyscy huczny i pełen buńczuczności wyjazd Kuropatkina na plac boju na Dalekim Wschodzie. Było to w marcu ubiegłego roku. Kuropatkin, objąwszy naczelną komendę wojsk walczących, w Petersburgu jeszcze przy każdej sposobności wygrażał się Japończykom, którzy, jego zdaniem, mieli pierzchnąć, gdy on się tylko na swoim białym koniu pojawi w Mandżuryi i zastępy Rosyan powiedzie do boju. Słynne jest jego ostatnie zdanie, które wyrzekł, wsiadając do pociągu, mającego go zawieźć na pole wojny: „Ci Japończycy, którzy stanęli na Liaotungu, nie zobaczą już nigdy wiśniowych sadów Japonii. Żywa noga z nich nie pozostanie".

Tymczasem rzeczywistość zadała kłam słowom dumnego generała. Japończycy nietylko, że nie ustąpili z Liaotungu, ale zdobyli Port Artura, zdobyli Liaojan, zdobyli Mukden i byliby dalej pewno posunęli się w swym zwycięskim pochodzie, gdyby nie zawarto pokoju, który położył kres dalszemu krwi rozlewowi. Wszystkie nadzieje Kuropatkina, który wyjeżdżając z Petersburga już był otoczony nimbem bohaterstwa i aureolą „pogromcy Japończyków" — rozwiały się, jak bańka mydlana.

Kuropatkin oszołomiony spadłym na niego zaszczytem, uwierzył w swą wielkość, tak jak w nią wierzyła cała Rosya. Ze wszystkich stron nadsyłano niedoszłemu bohaterowi upominki i dary, wszędzie myślano, że Kuropatkin to przyszły zwycięzca, mający wyprzeć Japończyków z Azyi Wschodniej. Carowa wdowa przesłała mu wspaniały, z bronzu wykonany i grubo pozłacany ikon, na którym widniały napisy, trzymane przez świętych, a zapowiadające Kuropatkinowi zwycięstwo. Był to pewnego rodzaju talizman dla naczelnego wodza armii mandżurskiej, który przy całej swej wielkości, okazał się człowiekiem wielce zabobonnym. Ikon ten woził Kuropatkin ze sobą, przekonany, że mu zapewni zwycięstwo. Ale ani ikony, ani ordery nie pomogły tam, gdzie trzeba było jedynie genialności strategicznej, aby, jeżeli już nie przewyższyć, to przynajmniej dorównać genialnym wodzom japońskim. Kuropatkin okazał się niedołęgą, okazał że nie dorósł do powierzonego mu zadania i zamiast wieńcem chwały, okrył się niesławą, której już nic z niego nie zmyje.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię owego ikonu, który miał być talizmanem Kuropatkina w czasie wojny z Japonią.



Śląskie dzieci w Krakowie: Grupa młodocianych pielgrzymów wraz z przewodnikami, zdjęta u podnóża pomnika Kościuszki w Parku Dra Jordana. Fot. E. Pierzchalski. ...ków.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

16 (Ciąg dalszy).

— I co z nim zrobili, proszę pana?

— Następnym pociągiem odstawili go do Piotrkowa... O, tam mu będzie ciepło — zaśmiał się bezmyślnie — wyśpiewa tam wszystko.

Helena pobladła i znów mieszała łyżeczką herbatę.

— Pani, zdaje się, jest bardzo nerwowa.

— Ja? — siliła się na uśmiech.

— Pobladła pani...

— Mam migrenę dzisiaj.

— Może pani przejdzie do damskiego przedziału? — wstał z krzesła — czy mogę odprowadzić panią?

— Nie... dziękuję... to przejdzie.

Dokończyła z przymusem herbatę, zapłaciła szybko, a chcąc pozbyć się niemiłego towarzysza, zapytała:

— Gdzie jest damski pokój?

— Ostatnie drzwi na lewo.

— Dziękuję panu.

Urzędnik wstał, podkręcił wąsiki i szepnął lekceważąco:

— To jakaś chora...

Helena usiadła w rogu kanapki, nie zwracając uwagi na damę z dwojgiem dzieci i pogrążyła się w smutnem rozmyślaniu. Więc Walczaka aresztowali, nie pomogło futro bo też tyle broszur... dlaczegóż ona nie wzięła jakieś części, wypakowanie nie byłoby tak widoczne. Walczak nie zdradzi, to charakter stalowy, ale ile on się nacierpi? Głęboko westchnęła i poczuła łzy, napływające do oczu.

Porwał ją gniew na siebie — nie dość, że mdleje, że blednie, a teraz płacze!

Wszystkiemu winne głupie jej nerwy! Naturalnie, że szkoda Walczaka, szkoda, że ubył taki odważny bojownik wielkiej sprawy, ale cóż za racya płakać?!.

Spojrzała na pokój, dostrzegła karafkę z wodą, wstała, napiła się, odetchnęła i powiedziała sobie; złapali Walczaka, ubył ze szeregu, ale mnie nie złapią i muszę podwójnie pracować, aby jego zastąpić, bo sprawa nie może chromać dlatego, że jeden ubył.

To postanowienie dodało jej otuchy i gdy dzwonek zabrzmiał, poszła swym zwykłym, dość szybkim krokiem na peron.

Gdy pociąg ruszył, wyszukała umywalnię, wyjęła paczkę przygotowaną do Zawiercia i wróciła do przedziału, w którym siedziało małżeństwo, oboje niemłodzi, mówiący tylko po niemiecku.

Helena wyjęła z kuferka książkowy austryacki rozkład koleją, przywiązała do niego sporą paczkę odezw i czekała na stacyi Zawiercie z bijącem sercem, gdyż był to jej pierwszy debiut przemytniczy.

Stanęła w kurytarzu, wypatrując stacyę przez szybę, co chwila zamarzającą, mimo częstego wycierania.

— Zawiercie!... Jedna minuta!

Pociąg stanął dość nagle, Helena zachwiała się na sekundę i zaczęła mocno stukać w okno, aby jej otworzono, drzwi bowiem wagonu były zewnątrz zamknięte, a okno z powodu śniegu i mrozu nie dało się otworzyć.

Otworzył wreszcie konduktor i uchylając drzwi, spytał:

— Pani do Zawiercia?

— Tak... na chwilę.

— Zaraz jedziemy... spóźni się pani.

— Na sekundę tylko — cisnęła się do drzwi.

Konduktor otworzył i patrzał ciekawie na nią. Wyskoczyła i trzymając książkę na czarnym paltociku, wyglądała umówionego odbiorcy.

Na peronie było niewiele osób, ale wśród nich zauważyła Helena jednego, który bacznie przyglądał się pociągowi. Może to on? Dlaczego nie podejdzie? Czy nie widzi książki? Magnetyzowała go wzrokiem.

Wtem nadkonduktor gwizdnął, odpowiedziała mu maszyna.

— Siadaj pani! — zawołał konduktor.

Helena zdecydowała się na ostatnią próbę i podniosła książkę w górę.

— A! — doleciał jej uszu okrzyk.

I wsiadając do wagonu, zobaczyła jakiegoś blondyna, w mundurze, który biegł w kierunku jej wagonu.

Drzwi były już zamknięte, a przez szybę dojrzała, jak ten urzędnik kolejowy, oczekujący na przesyłkę, dawał wymowne znaki żalu, że nie dostał przeznaczonej na Zawiercie paczki.

— Czyż mogłam się spodziewać, aby takie odezwy zabierał jakiś pan w mundurze? Nawet go zauważyłam, ale byłam pewna, że to tamten ma odebrać...

Konduktor, przechodząc kurytarzem, przystanął w drzwiach przedziału i zwrócił się do Heleny z dobrodusznym uśmiechem:

— Cóż? Nie udało się pani?

— A nie — powiedziała zdziwiona.

— Może pani mnie zawierzy tę książkę, jutro tu będę i oddam jemu.

— Albo pan go zna?

— To urzędnik naszej kolei, dobry i porządny człowiek. Wybór zrobiła pani trafny, na nim nie zawiedzie się pani.

Zarumieniła się i omal w głos się nie roześmiała się na przypuszczenie, że jest narzeczoną nieznanego sobie człowieka.

— Nie, dziękuję panu... sama oddam.

— Ja to rozumiem — zaśmiał się — tajemnica!

Dzięki tej znajomości, doznawała Helena opieki konduktora, który uprzedził ją, aby zjadła cokolwiek w Częstochowie, gdyż w Piotrkowie niesmaczne jedzenie i mnóstwo wojskowych, a do Koluszek dość daleko.

— Piotrków!... Dziesięć minut! — wołali konduktorzy, otwierając drzwi wagonów.

Helena wyjrzała przez otwarte drzwi, zobaczyła żandarmów, oficerów i pomyślała ze smutkiem, że w tym Piotrkowie siedzi w więzieniu Walczak, schwytany w Granicy.

Jak musi tam cierpieć, a może dziś było przesłuchanie? może go bito?

Zapewne teraz, jeśli tylko jest przytomny, a nie w gorączce, myśli, że w tej chwili ona przejeżdża przez Piotrków, a może przypuszcza, że została tak, jak on, aresztowana i pewno się martwi.

A w tej celi jego pewno jest zimno, ciemno, głucho... szkoda go, wielka szkoda!

Jak tylko powróci, zaraz da znać Pawłowi o jego aresztowaniu. Jeśli stronnictwo wysyła ludzi z tak niebezpieczną misyą, to pewno dba o nich, gdy wpadną w szpony moskiewskie.

A może uda się im wyzwolić go z więzienia. Wprawdzie nie zna praw międzynarodowych, ale niepodobna, aby obce państwo mogło więzić obywatela austryackiego. Sam rząd upomni się o niego, byle tylko poruszyć sprawę w Wiedniu, w ministeryum, i nie zezwolić na zwłokę.

To jej towarzysz broni i obowiązkiem jej użyć wszelkich sposobów, aby go wydostać z więzienia.

Kiedy to nastąpi, nie wie, ale że nastąpić musi, o tem jest głęboko przekonana.

Pogrążona w tych rozmyślaniach i w planowaniu Walczaka, nie zauważyła, że pociąg dojeżdżał już do Koluszek. Dopiero konduktor, jej opiekun w drodze, wszedł do przedziału i rzekł uprzejmie:

— Koluszki, proszę pani... tu się pani przesiada do Łodzi. Czy zawołać tragarza?

— Bardzo proszę.

A gdy Helena wychodziła z wagonu, ukłonił się jej grzecznie:

— Szczęśliwej podróży i powrotu!

— Dziękuję panu — wyciągnęła do niego rękę, którą on, ku jej zawstydzeniu, ucałował z szacunkiem.

Śledząc za tragarzem, niosącym jej kuferek, mało zwracała uwagi na otoczenie, tylko raz, bliżej latarni dworca, mignęła przed jej oczyma postać, która z ruchu i chodu, przypomniała jej Walczaka.

Westchnęła nad uwięzionym i pomyślała, że jednak wrył się głęboko w jej pamięć, gdy widzi podobieństwo z nim obcych ludzi.

Już była blizko drzwi wejściowych z peronu do sali drugiej klasy, gdy tuż przy sobie posłyszała głos dobrze jej znany:

— Dobry wieczór, koleżanko!

Zachwiała się, zbladła i na pół przerażonemi oczami spojrzała w stronę mówiącego.

Był to jakiś pan we futrze, w czapce wysokiej, barankowej, odwrócony od latarni, a ona, patrząc pod światło, nie mogła dobrze dojrzeć rysów. Stała, nie dowierzając swemu słuchowi i niemal była przekonana, że jest ofiarą halucynacyi.

Wtem odezwał się powtórnie ten sam głos, tylko bliżej.

— Nie poznajecie mnie? — i wyciągnął ku niej rękę.

— To wy?! Wy, naprawdę?

— Przecież nie mój duch — zaśmiał się szczerze, ubawiony jej przerażeniem.

— Więc to wy! — uścisnęła serdecznie jego

rękę i nie wypuszczając jej — i wolni jesteście? nie schwytano was?

— Ciszej, koleżanko — upomniał, spostrzegłszy, że im się przysłuchują — chodźcie na salę, pogadamy.

Usiedli przy stoliku, pili herbatę, a Helena z początku nieustannie przypatrywała się Walczakowi z wielkiej radości, że on nie jest uwięziony w Piotrkowie, ale jest swobodny i tu z nią rozmawia. Zauważyła też, że w tem futrze, czapce, z przyciętą brodą, wygląda wcale dobrze, że jest przystojny, a nawet ładny.

— Wiecie, kolego, co się też wami namartwiłam, omal, że nie płakałam — zaśmiała się wesoło — jako straconego. Jakiś urzędnik na granicy opowiadał mi, że żandarmi aresztowali wczoraj jakiegoś pana za przewożenie pism. Byłam pewna, że to was i dlatego tak się cieszę, że jesteście wolni. Nieznośny urzędniczysko — śmiała się.

— Znów nie tak bardzo — uśmiechnął się leciutko — bo zmusił was do myślenia o mnie i witaliście mnie życzliwie, jak nigdy przedtem.

Helena spoważniała w jednej chwili i mówiła już innym tonem:

— Istotnie myślałam i żałowałam was, jako bojownika idei, której oboje służymy... a cieszyłam się ze spotkania uwolnionego więźnia, naturalnie w mojej wyobraźni.

— Niepotrzebnie się tłómaczycie, koleżanko, wiem o tem i rozumiem. Czy macie już bilet do Łodzi?

— Jeszcze nie.

— Wezmę dla was i dla siebie.

— Jakto? I wy jedziecie? — zdziwiła się.

— Tyle niepokoju przeniosłem, oczekując was tutaj, że wolę z wami jechać — wstał i poszedł do kasy.

Przyjęła jego słowa, jako objaw zupełnie naturalny, poczuła jednak pewne zadowolenie wewnętrzne, że on niepokoił się o nią.

Gdy wsiedli do wagonu, zaczęli nawzajem sobie opowiadać przeżyte wrażenia i uczucia na Granicy i w podróży.

Helena czyniła sobie wyrzuty, że w Zawierciu nie była na tyle przezorną, aby uprzedzić konduktora o otwarciu drzwi, gdyż przypuszczalnie wobec dłuższego czasu stania przed wagonem, byłby ją dostrzegł odbiorca.

— Nie pociągnie to za sobą złych skutków — uspakajał Walczak — oddacie w Łodzi, jak wam polecił Paweł i wszystko będzie w porządku. Jednak ten Paweł zna swoich ludzi — mówił z uznaniem — przewidział, że on może nie dostrzedz.

— Tak, tak... On jest stworzony na tajnego dowódcę — potwierdziła Helena — a co było w Piotrkowie?

— Poszedłem do umywalni i najspokojniej włożyłem książki do kuferka.

— I nie dostrzegli was niosącego?

— Takiemu panu we futrze z kołnierzem bobrowym — zaśmiał się — wolno wszystko... I to futro, dobry pomysł Pawła; w moim paltocie byłbym nawet Granicy nie przejechał.

— I w Koluszkach siedzieliście od piątej rano do ósmej wieczorem?! Musieliście się nudzić? Ani książek, ani towarzystwa żadnego...

— Mylicie się — uśmiechnął się — miałem najwspanialszą książkę i bardzo przyjemne towarzystwo.

— Wy? tutaj? — zdziwiła się.

— Pochodzę, jak wiecie, z chłopów, więc natura jest dla mnie ukochaną książką. Poszedłem w pole... gdybyście widzieli, jak skrzyły się w słońcu brylanty śniegowe? Jak przy powiewie wiatru porywały się ze śnieżnej ziemi filigranowe dymki, zakręcały się, opadały, wyrównując białą płaszczyznę! A te ślady zgłodniałych myszy! Te skoki i zawroty zajęcze!... Świat jest przepiękny, gdy się patrzy na niego zblizka.

— Nie umiem podzielić waszych zachwytów — uśmiechnęła się — ale spróbuję w wolnym czasie.

— I las was nie zachwyca?

— Owszem, gdy tak zielono, bujno, pełno kwiatów i śpiewów...

— Byłem i w lesie, taka cisza ogromna, taka powaga i melancholia, że zdaje się człowiekowi, iż jest na cmentarzysku olbrzymiem i jaka to radość, gdy się dojrzy i przekona, że pod tą zimną powłoką życie pulsuje. I nas nakryto takim całunem syberyjskim, ale my żyjemy, a wiosna już blizka.

Helena słuchała i patrzała zdziwiona, takim nie znała go i nie widziała, więc po chwili rzekła:

— Ależ was rozmarza ziemia!

— Bom z chłopów, a wy miejska... ale spróbujcie wżyć się w naturę. Zresztą przepraszam was za te romanse. Czy macie pakiet przygotowany?

— Nie, ale to wymaga dużo rozbierania się, może ktoś wejść... już lepiej na miejscu. A jakie mieliście towarzystwo?

— Rozmawiałem z robotnikami, pracującymi przy kolei. Wyborny materyał, lepszy, aniżeli w Galicyi. Tu, pod tym tym wszechstronnym uciskiem, ludzie czują potrzebę wspólnej obrony, bo jeden nie poradzi takiej sile. To ogromnie ułatwia organizacyę, a zwłaszcza, że tak żywą jest krzywda, bo często ponawiana.

— Wiecie, kolego — mówiła po namyśle — ja chyba przeniosę się do Królestwa, tam, w Galicyi, łatwa robota i dość znaczna wolność, a nam idzie o to, aby tu skruszyć więzy despotyzmu.

— Zrobicie, co zechcecie... ale namyślcie się dobrze... no, i warunki materyalne odgrywają tu rolę.

— Sądzę, że w Warszawie znajdę kilka lekcyi... nie wydatkuję dużo.

— Trzeba i to zbadać... Na oślep nie radzę jechać, i wy się namęczycie i sprawie nie pomożecie. Do naszej roboty trzeba mieć wolne ręce i wolną głowę.



...i wróciła do przedziału, w którym siedziało małżeństwo..

— A wy kolego, nie przeniesiecie się?

— Nie wiem... może, to zależy.. Kiedyż myślicie wracać z Łodzi?

— Jeśli się dziś załatwię, i to dziś wyjadę, szkoda mi czasu.

— Zbadałem rozkład, koleżanko. Możecie dziś po dwunastej wyjechać i rano jesteście na miejscu, ale to kuryer i bilet dużo kosztuje. Nie stać mnie na to.

— I ja nie mam pieniędzy na wyrzucenie — uśmiechnęła się — wracam trzecią klasą.

— W takim razie musicie wyjechać o siódmej z Łodzi, a wieczorem wrócicie do siebie. Trzeba przenocować w Łodzi.

— A na dworcu zaczekać nie można?

— Nie wiem, jak tutaj, ale w Galicyi nie na każdej stacyi pozwalają czekać noc całą. Dowiem się zresztą.

Pociąg, dojeżdżając do Łodzi, zaczął zwalniać biegu i gwizdać.

— Jesteśmy na miejscu — mówił Walczak — weźmiemy doróżkę i pojedziemy wprost pod wiadomy wam adres. A może wolicie, ażebym sam oddał?

— Nie... powierzono mi, mogę to zrobić a więc powinnam... to obowiązek.

— Powiedzieliście krótko a dobrze. Zatem jedziemy.. kuferki sam zabiorę.

— Sam? — zaśmiała się — taki pan we futrze z bobrowym kołnierzem nie może sam nosić. Nie zapominajcie, że mam odezwy, i chociaż Dunaj przepłynęłam, mogę utonąć na Dunajcu.

— Znów macie słuszność, z was dobry spiskowiec i ostrożny.

Ta pochwała ucieszyła ją i swobodna, wesoła, przeszła mimo żandarmów, stojących na peronie. Siedli do dorózki i Helena dała adres na Wesołą.

Jechali wolno z powodu wybojów, pomiędzy huczącemi fabrykami, jasno oświetlonymi sklepami, wysokiemi kamienicami. Po chodnikach snuło się mnóstwo osób, wśród których przeważali robotnicy, widni po zaniedbanem ubraniu. W powietrzu unosił się ciężki dym węglowy i mdły zapach jakichś tłuszczów.

— Czuć miasto fabryczne — mruknął Walczak — nie żałuję, że tu jestem.

— Tu dopiero pole do roboty — odezwała się Helena, tu nie to, co u nas.

— Wy, jak szlachetny koń, czujecie bój.

— Macie słuszność, widok fabryk i robotników podnieca mnie.

Po pewnym czasie dorożka stanęła.

— Zaczekam tutaj na was i uradzimy, co zrobić.

Helena spojrzała na drugie piętro, okna były oświetlone, to upewniło ją, że Ryszarda zastanie.

Szybko wbiegła na drugie piętro i ostro zadzwoniła.

Nie czekała długo, drzwi szybko się otwarły i z przedpokoju padł na Helenę jasny snop światła ostrego, który zrazu ją oślepił. Gdy przejrzała, zobaczyła przed sobą dwóch młodych ludzi we frakach, białych krawatkach, i rękawiczkach, a jeden z nich przemówił bardzo uprzejmie:

— Proszę... niech pani raczy wejść.

Zawahała się i stała przez chwilę niezdecydowana. Oczekiwała, idąc na górę, że ów pan Ryszard mieszka ubogo, coś w rodzaju jej kolegów, i że zawiadomiony o przesyłce, czeka na nią, a tymczasem zastała wyfraczonych panów, widocznie jest jakaś zabawa przypuszczała, chyba zaszła omyłka. I po chwili milczenia:

— Czy to numer dziewiąty kamienicy?

— Tak jest... niechże pani wejdzie.

— Czy jest pan Ryszard? — spytała śmiało.

— Ryszard?... Pani tylko do niego? — spojrzeli na siebie z porozumiewawczym uśmiechem.

— Do niego... czy jest w domu? Chcę się z nim widzieć.

— On bardzo zajęty.. ma gości...

— Muszę się z nim zobaczyć... Panowie zechcą go na chwilę poprosić.

— Ale cóż mamy mu powiedzieć? Może pani zechce powiedzieć swe nazwisko... z resztą imię.

— On mnie nie zna, niech tylko wyjdzie.

W tej chwili z dalszych pokoi wyszła niemłoda pani, przed którą rozstąpili się natychmiast młodzieńcy, a ta widząc Helenę w paltociku znoszonym, w ciemnej sukni, spytała zdziwiona:

— Czego pani sobie życzy?... Niechże pani wejdzie do przedpokoju.

Helena z paczką i książką w ręku, weszła zarumieniona z gniewu z powodu tych przeszkód.

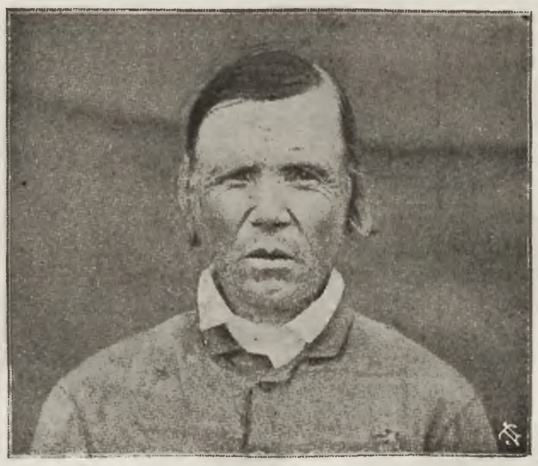
— Chcę widzieć pana Ryszarda. Ci panowie — spojrzała lekceważąco — nie uważali za stosowne poprosić go.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przyszli wyborcy do „dumy" rosyjskiej.



Wójt jednej z wsi na Kaukazie.



Fińczyk z Tawastland.



Litwin z Kowna.



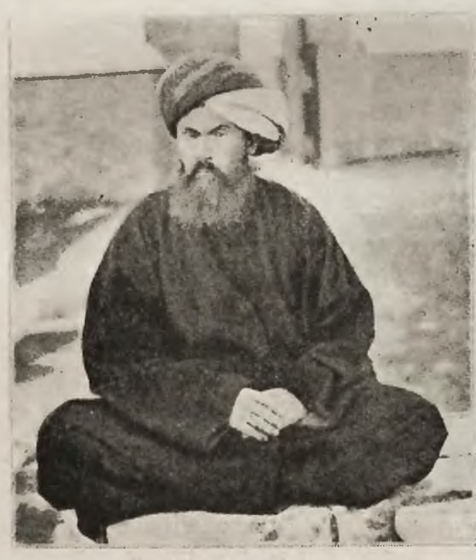
Obywatel z gubernii kutaiskiej.



Fińczyk.



Armeńczyk z Kaukazu.



Tatar z okolic Kazania.



Obywatel z gubernii tulskiej.



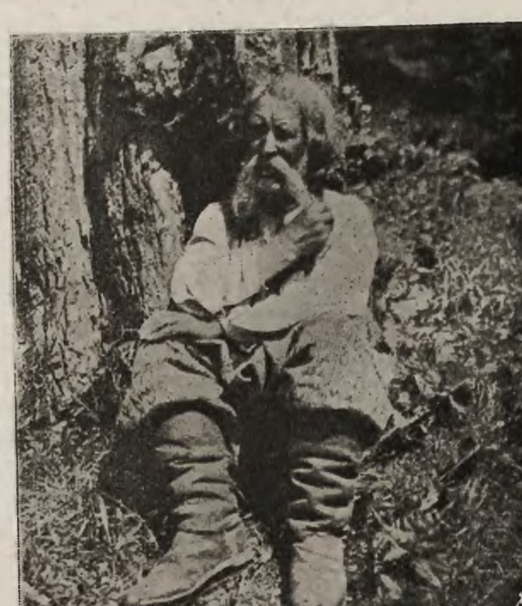
Rumun z Besarabii.



Buriat z kraju zabajkalskiego.



Żyd z Odessy.



Kozak z Boryspola.



Samojedzi.



Armeńczyk z Eriwanu.
Przyszli wyborcy do „dumy“ rosyjskiej.

Przyszli wyborcy do rosyjskiej „dumy“.

Dzień 12. sierpnia br. stał się dla Rosyi dniem grobowym. Od niego datować się zacznie dla tego olbrzymiego państwa nowa era, w dniu tym bowiem Rosya stara autokratyczna istnieć przestała i weszła na nowe tory życia konstytucyjnego. Car manifestem ogłosił, że ustanawia „dumę“ państwową, temsamem zaś skruszył na „papierze“ podwaliny despotyzmu.

„Gosudarstwienniaja duma“ nie będzie wprawdzie nawet w przybliżeniu tem, czem dzisiaj w Niemczech, Anglii lub Austryi jest parlament. Będzie ona pewnego rodzaju ciałem doradczem dla cara, bez prawa uchwalania, ale tylko z prawem prośby i inicyowania ustaw. Jednak pomimo tych wszystkich ograniczeń i skrępowań, jakimi tam związek rosyjskiego parlamentu spowito, sam fakt powołania przedstawicieli ludu do współudziału w rządach, chociaż współudziału ogromnie biernego, ma dla Rosyi znaczenie epokowe. Po raz pierwszy bowiem w historyi Rosyi car uznał potrzebę powołania ludu, a raczej jego przedstawicieli, aby radą swoją pomagali mu w rządzeniu ogromnem państwem.

Przyszła „duma“, do której wybory mają się odbyć w jesieni, będzie jednak, ze względu na swój skład i reprezentacyę ogromnie ciekawą. Pod berłem rosyjskiem mieszka przeszło 30 plemion, różniących się nie tylko poziomem kultury, ale i językiem. Niektóre z nich nie mają nic wspólnego z Rosyą z wyjątkiem cara, niektóre zaś wprost Rosyi i cara nienawidzą. W jaki sposób ci przedstawiciele „narodu rosyjskiego“ pogodzą się w tej dumie, w jaki sposób dojdą do porozumienia, aby jedni nie przeszkadzali drugim w osiągnięciu jakiegoś wyższego celu, tego nie wiemy. Wiemy tylko, a raczej możemy się spodziewać, że parlament ten po krótkim już czasie musi wywalczyć sobie te same prerogatywy, jakie mają parlamenty zagraniczne. Rosya weszła na tory ewolucyi i nie zejdzie z nich, dopóki zupełnie się nie przekształci. Takie już jest prawo historyi.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok szereg fotografii, przedstawiających główne typy przyszłych wyborców do „dumy“.



Naczelnicy wsi z Podola.



Kurd z Armenii.
Przyszli „wyborcy“ do dumy rosyjskiej.

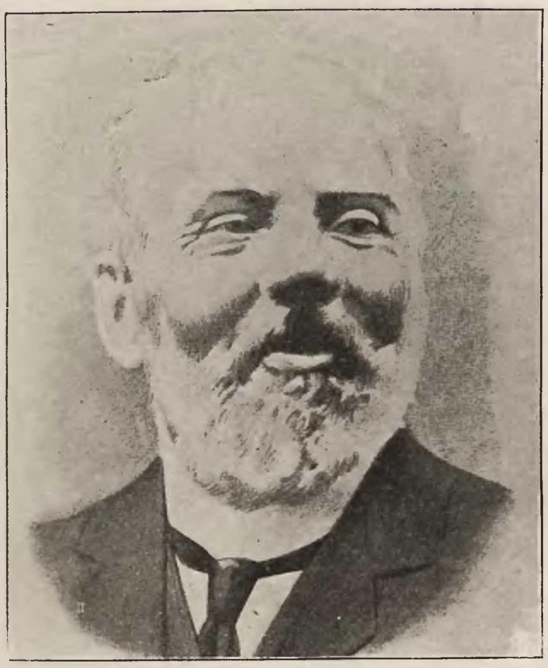
Twórcy pokoju.

W czasach dzisiejszych, kiedy ludzie coraz bardziej dążą do zaprzestania wojen, będących jeno rzezią setek tysięcy ludzi, kiedy na całym świecie zawiązują się ligi pokojowe, mające na celu nie dopuszczać do wojny, a wszelkie spory państwowe załatwiać drogą sądów rozjemczych, człowiek, którego energia i zabiegi położyły kres rozlewowi krwi, dzięki któremu zakończono wojnę rosyjsko-japońską, musi wyróść w naszych oczach na bohatera. Tak wyrósł w ostatnich tygodniach prezydent Stanów Zjednoczonych Roosevelt.

Właściwym bohate em pokoju w Portsmouth jest bowiem Teodor Roosevelt. On to zaproponował zawarcie pokoju, umiał niedopuścić do zerwania rokowań, namawiał, prosił, godził, aż wreszcie do-



Przyszli wyborcy do „dumy“ rosyjskiej: Typy wielkorosyjskie: Kupcy z Niżnego Nowogrodu.



Twórcy pokoju: Sergiusz Juljewicz Witte, główny pełnomocnik rosyjski.

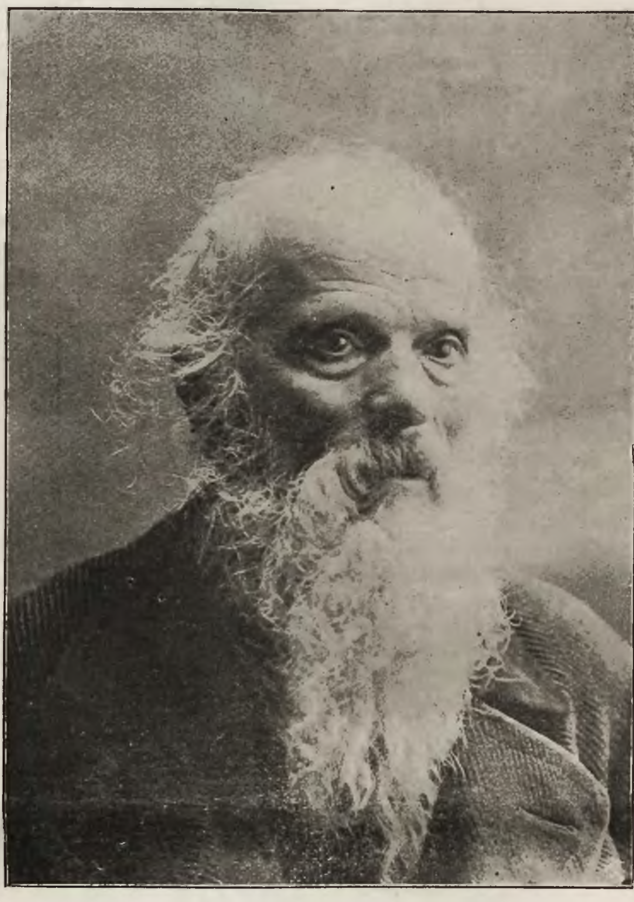
prowadził do tego, że pokój rosyjsko-japoński został zawarty Skutkiem tego nietylko sobie osobiście zapewnił miejsce na kartach historyi, lecz wogóle prezydentom Stanów Zjednoczonych zapewnił poczesne miejsce w radzie narodów. Od tej pory bowiem ludy i państwa będą się chętnie zwracały do Waszyngtonu po pośrednictwo lub sąd rozjemczy. Co więcej, pośrednictwo Roosevelta przyniesie Stanom Zjednoczonym dotykalne, pieniężne korzyści. Powaga Roosevelta i powaga Unii wzrosła w Chinach, dzięki czemu wzrośnie jej handel w tym kraju, handel, niosący setki milionów. Od tej pory będą towary amerykańskie płynęły do Chin i do Syberyi strumieniem, gdyż Japonia z powodu braku pieniędzy nie będzie mogła z nimi konkurować. Roosevelt więc oprócz tego, że działał w interesie ludzkości i w obronie jej kultury, działał również dla dobra Stanów Zjednoczonych; i jedno i drugie mu się zupełnie udało. Dzięki temu podniosły się głosy, ażeby nagrodę Nobla za działalność pokojową przyznać Rooseveltowi. W tym roku jest już zapóźno; pewną jest jednak rzeczą, że na drugi rok nagroda Nobla przypadnie Rooseveltowi.

Bardzo wielkie zasługi około zawarcia pokoju położyli również obydwaj główni pełnomocnicy przy rokowaniach pokojowych, bar Komura i Witte. Ich dyplomatycznemu sprytowi należy zawdzięczać, że rokowania wogóle doprowadziły do rezultatu.

Baron Komura, japoński minister spraw zagranicznych, przyjął na siebie bardzo niewdzięczną rolę. Ludność japońska, upojona zwycięstwami, nie chciała słyszeć o pokoju, w którymby nie było zagwarantowane wielkie odszkodowanie wojenne. Tymczasem pokój doszedł do skutku, gdyż Japonia zrzekła się odszkodowania wojennego. Cała nienawiść ludu japońskiego spadnie teraz na jego głowę.

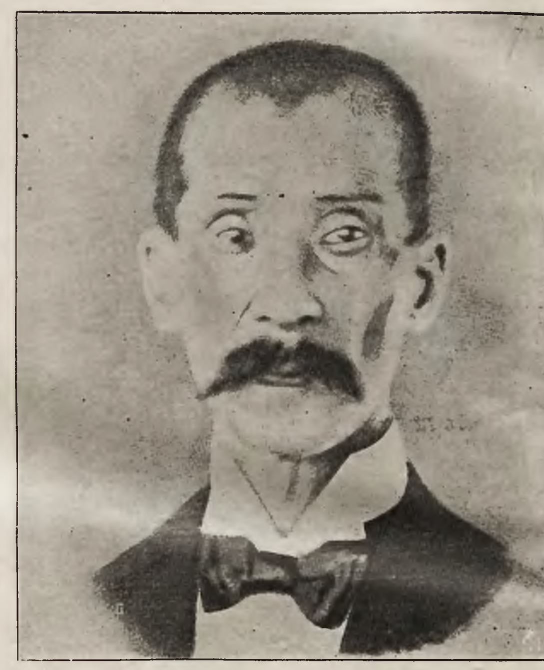
Witte, który był głównym pełnomocnym Rosyi, powróci do kraju otoczony nimbem anioła pokoju. Czekają go, pomimo osobistej antypatyi cara do niego, zaszczyty i pierwsze godności. Podobno ma zostać kanclerzem państwa.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografie tych trzech twórców pokoju rosyjsko-japońskiego.



Fot. T. Jabłoński, Kraków.

Żywy nieboszczyk: Majer Hirsch Mendelsohn.



Twórcy pokoju: Baron Komura, główny pełnomocnik japoński.

Żywy nieboszczyk.

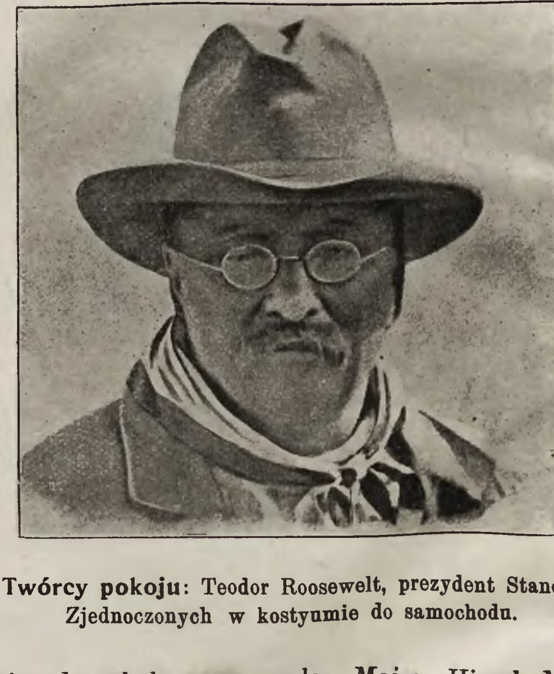
Chciwość ludzka nie zna miar, ani granic. Na potężne, a częstokroć zwodnicze zaklęcie bogini Mamony, ludzie, zaślepieni blaskiem złota zrywają najświętsze węzły i w szale jakimś pędzą na oślep, by posiąść urojone, czy prawdziwe skarby. Słyszeliśmy i czytali niejednokrotnie o wyrodnych dzieciach mordujących własnych rodziców, by przyjść jak najprędzej w posiadanie ich majątku; znamy wypadki, gdzie brat brata zabijał w celu nieprawego wzbogacenia się. Ostatni jednak wypadek, z którym czytelnika zapoznać pragniemy — urąga poprostu wszystkim prawom ludzkim i boskim, wypadek tem smutniejszy, że w grę tu wchodzi biedny, w troskach osiwiały człowiek i młoda, życiem kwitnąca córka jego.

Posłuchajmy tej historyi!..

Przybył do Krakowa stary żyd, który nadaremnie starał się i u władz i przez pośrednictwo zastępców prawnych o poświadczenie — że żyje! Chodził i kołatał na próżno ten żywy nieboszczyk o przysługujące mu prawa, prawa do życia. Smutne były koleje jego życia: Urodzony w Galicyi, trudnił się drobnym handlem i w ten sposób zarabiał na utrzymanie swoje i swej młodej córki,



Przyszli wyborcy do „dumy“ rosyjskiej: Trzej „inteligenci“, profesorowie Jaroszenko, Zutchisky i Roberty.



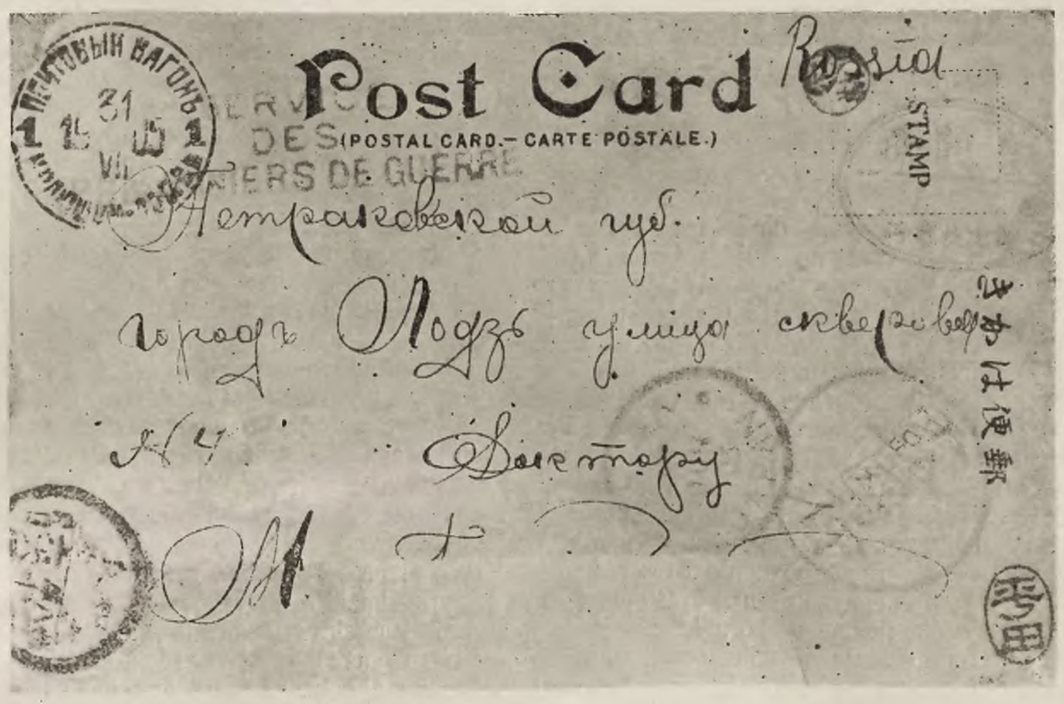
Twórcy pokoju: Teodor Roosewelt, prezydent Stanów Zjednoczonych w kostyumie do samochodu.

która do szkoły uczęszczała. Majer Hirsch Mendelsohn, bo tak się nieszczęśliwy nazywa, zachorował i w szpitalu powszechnym we Frankfurcie przepędził na kuracyi czas dłuższy. Dla jakich przyczyn i powodów — rzecz to dotychczas niewyjaśniona — dosyć na tem, że córka Mendelsohna wydobyła u odnośnych władz poświadczenie zejścia ojca, czyli t. zw. „metrykę śmierci“ i równocześnie w tajemniczy sposób zniknęła z domu młoda żydóweczka.

Stary, wyszedłszy ze szpitala, udał się po zapomogę do instytucyi ufundowanej ku wspieraniu potomków słynnego po dziś dzień filozofa, Mojżesza Mendelsohna, którego jest właśnie stryjecznym wnukiem. Ku swojemu zdziwieniu i przerażeniu dowiedział się biedny Hirsch, że już od

kilku miesięcy nie żyje, a przynajmniej urzędowie za umarłego jest uważanym. Nie pomogły legitymacye ani metryki — Hirsch Mendelsohn umarł i na podstawie zeznań własnej swej córki z listy żyjących wykreślonym został. Po długich, uciążliwych i kosztownych — jak na kieszeń biednego żyda — staraniach, udało się wreszcie Hirschowi wydobyć owo nieszczęsne poświadczenie, że żyje. Na tej też zasadzie podał się powtórnie o zapomogę z fundacyi stryjecznego dziadka. Skutek był ten sam co poprzednio, t. zn., że zapomogi odmówiono biedakowi, powołując się na akt zejścia, a równocześnie z regencyi przyszedł nakaz, by natychmiast opuścił granice państwa niemieckiego. Mendelsohn udał się do Wiednia, by jako austryacki poddany, dochodzić swych praw. Lecz tu go spotkała nie bardzo miła niespodzianka. Oto w krótkiej drodze został zamknięty w domu waryatów. Cudem prawie, nie jako uleczony, lecz jako „nieszkodliwy obłąkany“ wyszedł po roku ze szpitala i nareszcie osiadł w Krakowie.

Ciekawy to okaz! Człowiek żyjący, posiada w swem ręku własną metrykę śmierci, potomek sławnego człowieka, nie mogący doprosić się zapomogi familijnej — nieszczęśliwy ojciec, którego córka znikła bez śladu i może się gdzie tuła, może już nie żyje! Ofiara formalistyki biurowej



Kartka z niewoli japońskiej: Kartka korespondencyjna, wysłana przez jeńca rosyjskiego do krewnych w Łodzi.



Zatarg francusko-niem.: Sierżant Maissa-Coumba naczelnik posterunku w Missum-Missum, zabity przez Niemców, w towarzystwie pp. Karmela i Dupont.

i woli złych ludzi!.. Portret nieszczęśliwego człowieka podajemy w dzisiejszym numerze...

Kartka z niewoli japońskiej.

Wojna rosyjsko-japońska rozwiała niejedno mylne przypuszczenie, jakieśmy mieli o Japonii i jej mieszkańcach. Zwłaszcza wśród żołnierzy rosyjskich, którym z rozkazu naczalstwa prawiono tyle o dzikości i barbarzyństwie synów krainy wschodzącego słońca, Japończycy po kilku miesiącach wojny pozyskali ogromną sympatyę. Przekonano się, że ci mali, krępi, skośnoocy żołnierze, są tak samo ludźmi, jak i Europejczycy, a niejednokrotnie nawet przewyższają Europejczyków swoją cywilizacyą, ludzkością i odczuciem doli bliźniego. Doszło do tego, że w ostatnich miesiącach wojny, żołnierze rosyjscy z zadowoleniem i z radością oddawali się w niewolę tymsamym Japończykom, o których jadąc na wojnę, słyszeli, że to są prawie nie ludzie, ale ledwo ucywilizowane powierzchownie zwierzęta. W niewoli japońskiej znajduje się tysiące jeńców rosyjskich, którzy nietylko nie żałują, że się dostali do niewoli, ale za to błogosławią jeszcze niebu.

Bo też życie jeńców w Japonii było dla nich i wypoczynkiem i szkołą. Japończycy bowiem założyli w schroniskach dla jeńców rosyjskich szkoły, w których jeńcy nie umiejący czytać ani pisać, uczyli się. I niejeden z nich, dotychczas analfabeta, dzięki Japończykom, po kilkomiesięcznym u nich pobycie był w stanie napisać do rodziny list, napisać własną ręką i wypisać w nim wszystkie swoje uczucia. Łatwo zrozumieć, jaką wdzięczność żywi taki żołnierz dla tych ludzi, którzy, ucząc go, ukazali mu nowe horyzonty, nowe światy, kazali inaczej myśleć, czuć i żyć.

W dzisiejszym numerze podajemy reprodukcyę kartki korespondencyjnej, pisanej przez jednego z oficerów rosyjskich, przebywającego w niewoli japońskiej, do krewnych w Łodzi.

Oficer ten został wzięty przez Japończyków do niewoli podczas oblężenia Portu Artura.

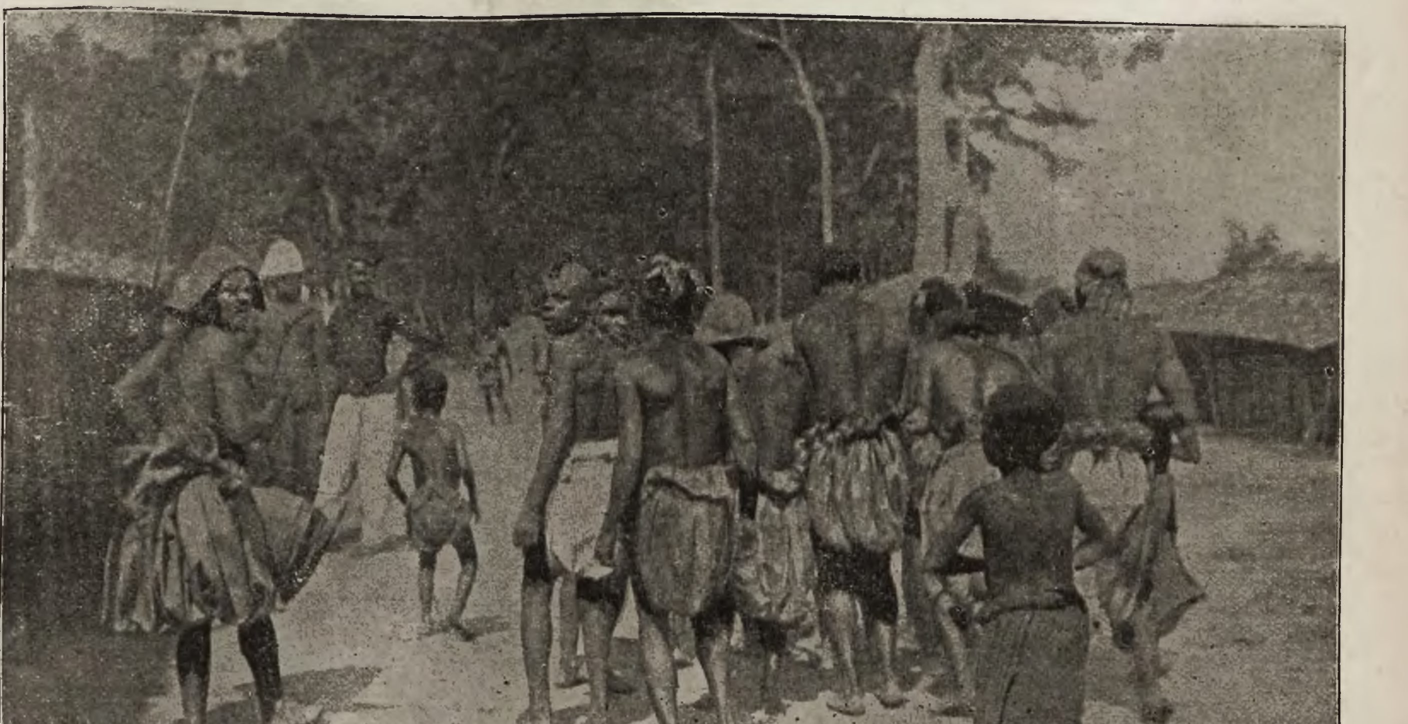
Na reprodukcyi znać napis: *„Ser vice des prisonniers du guerre“* — to znaczy: biuro jeńców wojennych, oraz pieczęć z napisem: *Osaka-Japan*. Znać też pieczęcie z napisami japońskimi.

Zatarg francusko-niemiecki.

Jednym z najwięcej zachłannych na ziemię narodów, są bez żadnej kwestyi — Niemcy. *„Mein Vaterland muss grösser sein!“* to ulubiona narodowa ich pieśń, charakteryzująca zarazem najdosadniej postępowanie germańskiej rasy. „Ojczyzna moja musi być większą“ krzyczy zajadły teuton i ruguje Słowian z nad Bałtyku i z Poznańskiego, Francuzów z Alzacyi i Lotaryngii, wkracza w cudze kraje i posiadłości, by tylko nasycić niepochamowaną niczem żądzę zaborczą i pychę.

Za przykładem wielkich, morskich mocarstw, jak Anglia, Francya — zaczęli i Niemcy uprawiać politykę kolonialną i wciskali się poprostu w terytorya, do posiadania których ściśle określonych praw nie mieli. I tak na pograniczu francuskiego Kongo, a niemieckiego Kamerunu jest dość duży pas bez dokładnie wytycznych granic, który zarówno Niemcy, jak Francuzi oddali na eksploatacyę prywatnym towarzystwom. Na owym pasie pogranicznym leży miejscowość Missum-Missum, z której dobrowolnie ustąpili Niemcy, a na ich miejsce zakwaterowali się Francuzi. Ale Niemcy rozmyślili się i postanowili zagarnąć z powrotem miejscowość. Banda uzbrojonych żołdaków przybyła do Missum i na zapytanie krajowca, będącego na posterunku, odpowiedziała zwyczajnym argumentem niemieckim: gwałtem i przemocą. Niespodziewanie padły strzały i kilku krajowców zginęło pod kulami — a Niemcy w tryumfie odzierżyli miejscowość. Naczelnik owej wyprawy, kapitan Schönneman, napisał jeszcze do ajenta francuskiego p. Roussaire — list impertynencki z użaleniami, że w kraju niemieckim żołnierze francuscy strzelali.

Zajście przeszło na drogę dyplomatyczną i prawdopodobnie pokojowo zostanie załatwione. Sam jednak fakt daje dosadną illustracyę wiarołomności, braku kultury i braku poszanowania praw — ze strony Niemców.



Zatarg francusko-niemiecki: Murzyni w Missum-Missum obchodzą uroczyście przybycie Francuzów do Missum-Missum.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

8 (Ciąg dalszy).

— Znałem wiele kobiet, dla których byłem obojętny, lecz Giza Cornary oplątała mą wolę i uczyniła ze mnie swego niewolnika. Wzięliśmy ślub w Londynie, poczem odjechaliśmy natychmiast, bo postanowiłem z młodą żoną odbyć podróż poślubną na Wschód. Ślub pozostał ścisłą tajemnicą. W pierwszych tygodniach po ślubie zdawało się rzeczywiście, że szczęście u nas zagościło i nic nie zaciemniało nieba szczęścia naszego małżeństwa. Wnet jednak spostrzegłem, że moja żona poczyna się nudzić i kokietować drugich. Zabroniłem jej tego w delikatny, lecz energiczny sposób, by uważała na to, że jest księżną de Bligny i zastosowała się do obecnego położenia. Nastąpiły gwałtowne sceny, aż pewnego poranku znikła moja żona. Nie trudno mi było zmiarkować, że szczególnymi jej względami cieszył się pewien rosyjski hrabia i że z nim prawdopodobnie uciekła.

Rozczarowanie, które mnie spotkało, było bardzo bolesne, lecz potem pomyślałem sobie, że Giza nie warta tego, by się dalej o nią troszczyć. Opuściła mię dobrowolnie i nie myślałem nawet o tem, by zmusić ją do powrotu. Hrabiego, jej uwodziciela, nie mogłem także wyzwać, bo zginął wszelki ślad o zbiegłych. Płynęliśmy dalej. Gizy nie pragnąłem więcej odzyskać, lecz gniew na hrabiego, który wobec mnie udawał gorącą przyjaźń, stawał się coraz większy. Gdyśmy po 14 dniach przybyli do celu podróży, usłyszałem w jednym z tamtejszych hoteli nazwisko hrabiego. Musiał on tutaj przybyć krótszą drogą w towarzystwie Gizy. Podawał ją za swą żonę i nie ulegało wątpliwości, że to musi być moja własna żona. Dobrze opłacani donosiciele, przynieśli mi drugiego dnia wiadomość, że hrabia z młodą damą zamieszkali w hotelu, położonym o dwie godziny drogi na wybrzeżu morskiem. Postanowienie moje było szybkie i jeszcze w nocy wyruszyłem, by zaskoczyć niespodzianie moją parę.

Hrabia musi mi dać satysfakcyę, czem się sprawa z nim załatwi i pozostanie przedsięwziąć tylko kroki, by nierozważnie zawarte małżeństwo rozwiązać. W towarzystwie jednego tylko sługi dotarłem do wchodu parku, który otaczał hotel, własność pewnego Niemca. Mimo późnej godziny zażądałem rozmowy z właścicielem i powiedziałem mu, że muszę natychmiast złożyć wizytę hrabiemu Kowalskiemu, ponieważ mam z nim załatwić sprawę honorową.

Przerażony gospodarz szukał wykrętów, lecz oświadczyłem mu stanowczo, że musi mię bezzwłocznie zaprowadzić do hrabiego.

Blady i drżący usłuchał mię wreszcie i zapukaliśmy do drzwi hrabiowskich komnat.

Po pewnym czasie dał się słyszeć gniewny głos a ja nieostrożnie odpowiedziałem.

Lekki krzyk nastąpił w środku, potem zadźwięczały oszklone drzwi, poczem nastąpiła znowu cisza. Zwróciłem się z pytaniem do gospodarza, co to ma znaczyć.

Człowiek ten wyjąkał coś niezrozumiałego i w tej samej chwili otwarły się drzwi.

Hrabia Kowalski, mężczyzna około lat 50, zjawił się we drzwiach i poprosił mnie, bym wszedł. W jego twarzy można było wyczytać pewne postanowienie. Odprawiłem gospodarza i powiedziałem w mieszkaniu hrabiego bez ogródek uwodzicielowi mej żony, co mię do niego sprowadziło. Gdy sobie nawet nie zadał trudu, by się usprawiedliwić, nazwałem go szubrawcem i pojedynek stał się nieuniknionym. O Gizę, która według mego mniemamania, znajdowała się w drugim pokoju, nie spytałem nawet, co więcej, życzyłem nawet hrabiemu szczęścia do prędkiego połączenia się z mą żoną, ponieważ chciałem przedsięwziąć natychmiast kroki rozwodowe.

Jaki będzie wynik pojedynku, o tem nie myślałem.

Następnego ranka nastąpiło spotkanie i już przy pierwszej wymianie kul padł hrabia Kowalski ciężko ranny na ziemię. Chciałem natychmiast, po pożegnaniu sekundantów, powrócić do Paryża, gdy doszła mię niespodziewana wiadomość. Ciężko ranny hrabia, którego złożono na wilgotnej murawie, zażądał ze mną chwili rozmowy. Uczyniłem zadość jego życzeniu i podałem mu na jego prośbę rękę. Przytem dowiedziałem się, że Giza przeszłej nocy, przerażona mym głosem, uciekła z mieszkania. Do tej chwili jeszcze nie powróciła, a hrabia przypuszczał, że znalazła śmierć w morzu, którego fale podpływały aż pod sam park hotelu. Giza w pośpiechu zarzuciła tylko nocną suknię na siebie i wypadła do parku, wtedy gdy hrabia zamierzał jak najspieszniej pozbyć się księcia de Bligny, co mu się zresztą nie udało. Przyrzekłem zranionemu, który stracił przytomność, szukać Gizy, co też natychmiast uczyniłem.

Dwa dni szukaliśmy nadaremnie po całej okolicy. Kilku rybaków, którzy późną nocą wracali do domów, zauważyli czółno, w którem siedziała biało ubrana postać kobieca. Morze było tej nocy dość wzburzone i rybacy wstrząsali zdziwieni głowami. Byli jednak tak zabobonni, że nie mogli się odważyć wołać na mały statek, który znikł za nadchodzącym bałwanem. Bezwątpienia Giza usiłowała uciec na czółnie, przyczem spodziewała się prawdopodobnie nieco dalej dobić do brzegu, aby się tam gdziekolwiek ukryć tak długo, dopóki nie opuszczę tych stron. Ponieważ zaś przeszukaliśmy bezskutecznie każdą chatę, a nawet najbardziej zapadłe zatoki morskie, pozostało więc tylko przypuszczenie, że musiała wraz z łodzią zatonąć. Że zwłoki nie wypłynęły, to na tamtych wodach nie było dziwnem, wyjątek tworzyło nawet przeciwieństwo, bo prąd porywał zawsze ciało ze sobą. Zanim wyjechałem, dowiadywałem się o stanie zdrowia hrabiego, lecz lekarz wzruszył tylko wiele mówiąco ramionami. Mocno poruszony wróciłem do Francyi, gdzie czekałem prawie miesiąc na wiadomości, które miano mi przysłać stamtąd, a potem znowu wyjechałem w świat.

Giza Cornary, z której zrobiłem księżnę de Bligny, a która mię oszukała w tak haniebny sposób, znalazła śmierć i w ten sposób byłem wolny. W następnych miesiącach nie dowiedziałem się nigdy nic o niej, ani o hrabi Kowalskim, który według mego mniemania umarł skutkiem otrzymanej rany. Smutny epizod mego krótkiego małżeństwa zacierał się coraz bardziej. Tylko akt ślubny, znajdujący się w mych rękach, przypominał mi o tem.

Książę przerwał i zaczerpnął głęboko oddechu. Z łatwością można było poznać, ile kosztowało go przedstawienie tych wypadków. Po chwili zaczął mówić dalej:

— Gdym po uczcie, w wilię ślubu, opuścił pałac mego przyszłego teścia, nie przypuszczałem, jaka straszna wiadomość oczekuje mię w domu. Byłem w nadzwyczaj dobrym humorze, bo stałem na progu nowego szczęścia, które dawało tym razem rękojmię długiego istnienia. Kochałem Leontynę, jak nigdy jeszcze nie kochałem żadnej kobiety i poznałem, że moja namiętność, jaką żywiłem dla Gizy Cornary, była tylko szałem, w który pogrążyła mnie ta demoniczna kobieta. Ona należała już do umarłych i to dawało mi rękojmię, że nic nie zajdzie takiego, coby mogło zburzyć moje szczęście.

Zamierzałem nieraz opowiedzieć Leontynie o tajemnicy mego życia, lecz nie mogłem tego uczynić, ilekroć bowiem popatrzyłem w czyste, pełne ufności oczy Leontyny—milczałem. Gorzko też tego pożałowałem. Wesoło wszedłem tego wieczora do pałacu, gdy stary mój sługa, Franciszek, podał mi bilet, który nadszedł już późnym wieczorem. Wziąłem go obojętnie do rąk i otworzyłem. Lecz zaledwie przeczytałem pierwsze wiersze, zbladłem z przerażenia i chwyciłem się za czoło, bo zdawało mi się, że zemdleję. List pochodził od mej pierwszej małżonki, którą z całą pewnością uważałem za umarłą. Wiedziała ona dokładnie o wszystkich wypadkach, zaszłych w ostatnich miesiącach i nie dała nic słyszeć o sobie, aż dopiero w przeddzień mego szczęścia. Słowa, które napisała, były krótkie i zwięzłe. Znajdowała się ona w Paryżu i oświadczała, że przybyła po to, by przeszkodzić memu małżeństwu! Ponieważ posiadała również akt ślubny, mogła to łatwo uczynić! Jeżeli zaś chciałbym z nią pomówić, to miałem się zjawić następnego rana w oznaczonym domu na ulicy św. Marcina.

Ledwie zdołałem wobec służącego zachować równowagę. Przedemną otwarła się przepaść i z przerażenia nie wiedziałem, co począć. Opowiedzieć o wszystkiem Leontynie i baronowi, zdawało mi się niemożliwością. W rozpaczy myślałem o śmierci, lecz po namyśle odrzuciłem pistolet, który trzymałem już w ręce. Lecz cóż począć?

Tej nocy przebyłem piekielne męki. Znałem Gizę zanadto dobrze, by przypuszczać, że uda mi się ją ugłaskać. Groziło mi jednak i drugie niebezpieczeństwo. Nie mogłem jechać do ślubu, bo przez to popełniłbym właśnie zbrodnię, chociażby Giza przyrzekła mi milczeć. Nasze małżeństwo nie było jeszcze rozwiązane i nie wiedziałem o wypadkach, które rozegrały się na wybrzeżu. Te chciała mi Giza podać osobiście i skoro dzień nadszedł, byłem zdecydowany przynajmniej z nią mówić i próbować wszystkiego, by ją tylko zmusić do milczenia i opuszczenia Paryża. Należało tylko ślub odłożyć pod jakimkolwiek pozorem aż do czasu, w którym dawniejsze małżeństwo będzie rozwiązanem.

Nie wiedziałem jeszcze, w jaki sposób uwiadomię o tem, co zaszło, barona i Leontynę, gdy nadeszła chwila, w której oczekiwano mię w domu mej narzeczonej. Musiałem się ubrać, przy czem pomagał mi mój stary sługa. Pozwoliłem robić ze sobą wszystko i myślałem tylko o tem, by nie zdradzić się przed nim.

Mimo tego spóźniłem się i gdy wsiadłem do powozu, pozostawało tylko pół godziny do wyznaczonej godziny ślubu. Woźnica jechał nadzwyczaj prędko, skręcił w kilka ulic i zatrzymał się potem przed jakimś niskim domem. Dopiero wtedy uderzyło mię to, że nie podałem mu żadnego adresu. Wysiadłem i chciałem go się zapytać, gdy spostrzegłem, że mam przed sobą całkiem obcego mi człowieka.

Chłopiec na moje pytanie odpowiedział mi, że zastępuje swego starszego kolegę, który nagle zachorował. Tak byłem pomieszany, że zapomniałem zapytać, skąd mógł wiedzieć, że chciałem tutaj wysiąść. Numer domu zgadzał się dokładnie z tym, który podała mi Giza. Wahałem się jeszcze minutę, poczem wszedłem do domu, który zdawał się być zupełnie niezamieszkany.

Wszedłem w długi, nawpół ciemny kurytarz. Szedłem szybko dalej spodziewając się usłyszeć głos, któryby mi wskazał miejsce pobytu Gizy Cornary. To, że w tym domu naznaczyła mi schadzkę, powinno mię było uczynić ostrożnym, lecz nie mogłem skupić mych myśli.

Nagle stanąłem przed ciemnymi schodami, które prowadziły na górę. Oglądnąłem się teraz wokoło, bo ta cisza stała mi się podejrzaną. Właśnie chciałem wołać, czy niema nikogo, gdy nagle stanął przedemną, jakby z pod ziemi wyrosły, chłopak i rzucił się bez słowa na mnie.

Począłem się bronić, lecz on był mistrzem w tego rodzaju napadach, nadto tak mię to nagle zaskoczyło, że nie mogłem odparować ciosu, który mi zadał. Uderzony z ogromną siłą, upadłem na ziemię i straciłem przytomość. Podczas upadku ujrzałem jeszcze twarz napastnika i dzisiaj poznaję ją jak najdokładniej. Jestto właśnie ten człowiek, który tam stoi pomiędzy policyantami.

Sędzia śledczy pozwolił odetchnąć znowu księciu i zwrócił się do Lisa:

— Czy zamyślasz jeszcze wobec zeznań księcia trwać dalej przy swojem kłamstwie, Piotrze Gramont?

— Nie — mruknął Lis, w którego ustroju wewnętrznym, podczas opowiadania księcia, dokonała się zmiana. — Przyznaję, że byłem tym, który dokonał napadu, lecz mię do niego namówiono i zapłacono mi za to tak, jak płaci się robotnikowi. Jeżeli już mam za to odpokutować, to wymienię i tego pana, który mię do tego zgodził w piwnicy ojca Noego. Jest nim markiz de Lerma.

— A więc markiz de Lerma — powtórzył sędzia.

— Tak jest i mogę nawet panu powiedzieć, w którym hotelu mieszka ten piękny panicz — dodał zbrodniarz.

— Wcale niepotrzebnie — odpowiedział sędzia z uśmiechem — bo ten ptaszek znajduje się już w klatce.

Ta wiadomość zdawała się niezmiernie uradować Lisa. Zatarł ręce i uśmiechnął się serdecznie.

— Zechce pan teraz mówić dalej, książę! — rzekł sędzia. — Co nastąpiło po napadzie, który pan poprzednio opisałeś?

Książę odpowiedział:

— Jak długo leżałem ogłuszony, tego nie wiem. Gdy przyszedłem do siebie, leżałem w małej izdebce, której jedyne okno wychodziło na brudne podwórko. Kilka silnych żelaznych prętów zagradzało światłu drogę, a całe urządzenie składało się z ławki i kilku ordynarnych krzeseł.

Drzwi były dosyć silne i zrobione umyślnie do zamknięcia z zewnątrz. Czułem dotkliwy ból w głowie i tylko z największym wysiłkiem udało mi się zebrać myśli. Gdy oczy przyzwyczaiły się do mroku, ujrzałem na stołku, w pobliżu drzwi, postać kobiecą. Była to Giza Cornary, moja małżonka, którą uważałem za umarłą. Skoro spostrzegła, że przyszedłem do przytomności, podniosła się i zbliżyła się do mnie z nienawistnem spojrzeniem. Od uderzenia w głowę tak osłabłem, że mogłem tylko złorzeczyć jej.

— A więc jesteś przecież w mej mocy! — poczęła szyderczo. — Prędko załatwimy rachunek!

— Zostałam z wszelkiemi formalnościami twą żoną, a teraz zamierzasz poprowadzić inną przed ołtarz! Czy nie wiesz, że to jest zbrodnią?

Odpowiedziałem jej, że podeszła mnie w haniebny sposób i że uważałem ją za umarłą! Roześmiała mi się w twarz i rzekła, że było to jej zamiarem pozostawić mię w tem mniemaniu, ponieważ przysięgła mi krwawą zemstę za śmiertelnie zranionego hrabiego Kowalskiego. Rzeczywiście uciekła wtedy w łodzi, a prąd poniósł ją dość daleko na morze. Zajął się jednak nią stary rybak i zaprowadził do swej chaty. Wielkiemi obietnicami udało się jej nakłonić go, by ją na kilka dni ukrył, dopóki ja nie opuszczę tamtych stron. Tymczasem jednak odbył się pojedynek i hrabia został ciężko ranny. Najdokładniejsze poszukiwania pozostały bez rezultatu, bo rybak ukrył Gizę w nieznanej nikomu grocie, którą znalazł pośród skał. On także uwiadomił ją o mym odjeździe i wyniku pojedynku. Ponieważ przypuszczała, całkiem zresztą słusznie, że dałem polecenie, by dalsze wiadomości przysłano mi do Niemiec, przeto wyczekiwała, dopóki z trudem przychodzącego do zdrowia hrabiego nie odwieziono do jego dóbr, poczem z największą ostrożnością udała się za nim, a on przyjął ją z otwartemi ramionami. Starzec dał się nawet nakłonić do tego, że się z nią ożenił, bo Giza przedłożyła mu sfałszowane papiery, na mocy których miało być nasze małżeństwo unieważnionem. Jej rozchodziło się tylko o to, by zagarnąć olbrzymi jego majątek, bo hrabiego opuścili już lekarze i pozostawało mu tylko kilka miesięcy życia.

Po jego śmierci poświęciła się Giza całkowicie memu prześladowaniu. Opowiadała mi jeszcze, że spotkała pewnego człowieka, który miał również powody, by mię nienawidzieć; dlaczego i jak nazywał się ten człowiek, zamilczała. Gdym się jej pełen wstrętu zapytał, co właściwie zamierzała przez schwycenie mię zrobić, odpowiedziała:

— Przysięgłam cię zabić, by baronówna Brepont poznała raz dobrze ból, który mi wtedy sprawiłeś, gdym się zapomniała. Co mi potem odkryła, było wprost wstrętnem. Oświadczyła mi całkiem otwarcie, że najęła człowieka, który miał mię w tym odludnym domu pozbawić życia! Wiedziała ona, że wszyscy w pałacu barona czekają mego zjawienia się i że naprężenie wzrosło już do najwyższego stopnia. Piękna narzeczona otrzyma zresztą w tej chwili oryginalny podarunek, ni mniej, ni więcej — tylko moją własną rękę, za którą tak bardzo tęskniła. Nie rozumiałem jej słów, ale Giza ciągnęła dalej:

— Oddadzą twej narzeczonej czarną szkatułkę, w której leży odcięta ręka księcia de Bligny.

— Czyś zwaryowała, kobieto? — krzyknąłem.

Ona jednak poczęła się śmiać na nowo i mówić z przerażającym spokojem:

— O nie, mój mężu! Całemi miesiącami układałam ten plan, by ci dokuczyć, a jeszcze bardziej tej, której nienawidzę i której złorzeczę! Nie znam baronówny osobiście, ale to niema nic do rzeczy, bo mnie wystarcza to, że pałam ku niej nienawiścią i straszną zazdrością. Pozna ona po dyamencie, który tkwi na palcu odciętej ręki, że to jest rzeczywiście część jej narzeczonego! Nie potrzebujesz się tak na mnie gapić, jakgdybym istotnie straciła rozum! Jestto przecież tak proste! Podczas, gdyś leżał tam na dole, wzięliśmy twój pierścień i mój człowiek dokonał już reszty! Chciałam ci darować życie, bo nagle uznałam za niepotrzebne, by cię zabijać. Mój powiernik wystarał się o rękę trupa i włożył twój pierścień na jej palec. Zrobi to tosamo, co twoja własna prawica.

Wątpiłem jeszcze zawsze o prawdzie tych strasznych słów, lecz Giza przedstawiła mi w najdokładniejszy sposób przygotowania do tej strasznej komedyi, której ohyda zdawała się jej sprawiać przyjemność.

— Może powrócisz, mój panie mężu, jeszcze do mnie, gdy tutaj w Paryżu będziesz uważany za umarłego i w tej chwili tylko czekam! Tak długo zostaniesz tutaj! Tymczasem będą szukać daremnie zaginionego księcia de Bligny, a jeżeli przerażenie, z powodu tego oryginalnego podarku ślubnego, który zrobiłam twojej narzeczonej, zabije ją, wówczas będzie mi to również na rękę!

Zerwałem się nagle i może zabiłbym w przystępie szału własnymi rękami tę kobietę, którą musiałem, na moje nieszczęście, nazywać swą żoną. Giza była jednak na to przygotowaną i wyciągła przeciw mały rewolwer. Cofnęła się ze śmiechem i zatrzasła za sobą drzwi. Gdym zaczął gwałtownie niemi szarpać, przekonałem się, że z zewnątrz zasunięto silne rygle. Odtąd pozostałem długi czas sam. Przywoływałem sobie napowrót wszystko na pamięć, co dopiero usłyszałem i byłem skłonny uważać wszystko za fantazyę, bo to nie dało się ogarnąć ludzkim rozumem. Coraz większa trwoga zaczęła mię ogarniać. Ślub odłożono już dawno z pewnością, a przerażenie i niepokój zapanowało w domu barona. Gdym myślał o mej narzeczonej, krzyczałem głośno z gniewu i bolu. To jednak na nic się zdało, dopóki byłem zamknięty w tej mocnej komórce.

Straszna rozpacz mię ogarnęła. Choćbym się zdołał uwolnić, to było już za późno, bo jeżeli Giza wykonała rzeczywiście swą groźbę i posłała martwą rękę do pałacu barona, to taki podarek musiał wywołać straszne przerażenie. Chociażbym się sam tam zjawił, to nie mógłbym dać żadnych wyjaśnień, bo nie byłem w stanie zawrzeć przerwanego małżeństwa.

Chociaż nie znalazłem jeszcze wyjścia z tego przykrego położenia, starałem się o to, by dostać się na wolność. Pozostawała jeszcze dla mnie jedna nadzieja. Prawdopodobnie uczyniła Giza tylko wzmiankę mojej narzeczonej o naszym związku i ta nie wiedziała nic o zawartym w Londynie związku małżeńskim. Był wprawdzie jeszcze akt ślubny, lecz zamknięty był w tajemnej skrytce mego biurka. Mojem pierwszem staraniem, skoro tylko dostanę się na wolność, powinno być, dostać ten dokument w swe ręce i zniszczyć, dopóki policya go nie odkryje. Tymczasem, myślałem gorączkowo, muszę się rozwieść z tą szaloną kobietą. Oglądałem komórkę na wszystkie strony, czy nie uda mi się uciec. Zdawało mi się to z początku próżną nadzieją. Zapadła noc, a ja jeszcze ciągle czekałem na myśl, którąby pomogła mi do odzyskania wolności.



— Nie — mruknął Lis, w którego ustroju wewnętrznym, podczas opowiadania księcia, dokonała się zmiana.

Nagle powstał na kurytarzu jakiś szelest. Nie dano mi dotąd ni jadła, ni napoju, teraz pewnie mi coś przyniesie jakiś złoczyńca. Gdy się drzwi otwarły, zjawiła się Giza. Miała ona na sobie bardzo elegancki kostyum podróżny i była, jak najgustowniej ubraną do wyjścia. Trzymała w lewej ręce małą ślepą latarkę, podczas gdy prawą ręką mierzyła we mnie małym rewolwerem.

— Czegóż jeszcze chcesz odemnie? — spytałem nieco zdziwiony.

Odpowiedziała krótko, zwracając na mnie swe czarne oczy, w których rzeczywiście było widać szaleństwo.

— Zamierzam jechać do hotelu i wydać tam rozporządzenia, by moje kufry odesłano na kolej. Odjeżdżam. Przedtem chcę ci krótko opowiedzieć, co dzisiaj rano zaszło. Mój podarek, czarną szkatułkę, dostawiono punktualnie, a twoja narzeczona otworzyła ją ciekawa. Niepokojono się wówczas już bardzo o ciebie. Po otrzymaniu szkatułki miała baronówna śmiertelnie zachorować, podczas gdy baron lata jak lunatyk. Cały Paryż żyje dzisiaj i przez następne dni tą senzacyą! Tymczasem wyłowią z Sekwany trupa, którego nawet twój sługa będzie musiał uznać za księcia de Bligny.

— To niemożliwe! — wykrzyknąłem.

Giza patrzyła na mnie płonącymi oczyma.

— Nie zauważyłeś tego nawet, że mój powiernik zdjął z ciebie galowy strój, gdy leżałeś ogłuszony na ziemi i ubrał cię w inny, chociaż podobny. Twój portfel z herbem książęcym i papierami w środku, jak również twoje miniaturowe ordery, znajdują się na tym trupie. Głowę jego do tego stopnia zeszpecą, że nie będzie można absolutnie nic poznać. A najlepszą wskazówką dla policyi będzie: Trupowi brakuje prawej ręki, a ta znajduje się z pierścieniem brylantowym księcia de Bligny w posiadaniu barona de Brepont!

Zgłupiałem formalnie, gdy mi to powiedziała i popatrzyłem na moje czarne ubranie. Kobieta ta powiedziała prawdę. Dopiero teraz zauważyłem, że ubrano mię w cudze ubranie.

— Czegóż ty jeszcze więcej chcesz odemnie? — zawołałem, drżąc z przerażenia.

Giza oparła się o drzwi i odpowiedziała po krótkiem wahaniu:

— Żądam, byś ze mną odjechał. Hrabia Kowalski umarł, a ja uroiłam sobie, że powinieneś ze mną zarządzać tamtejszemi dobrami. Może uważasz mię za szaloną, lecz nią nie jestem, chociaż może jestem całkowicie inną, aniżeli inne przeciętne kobiety! Moje małżeństwo z Kowalskim było również nieważne, bo przyszło do skutku tylko dzięki sfałszowanym dokumentom. Jednak to nic nie szkodzi; możemy na nowo spróbować szczęścia!

Po tych słowach ogarnął mię ogromny wstręt.

— Nigdy to się nie stanie, czego odemnie żądasz — krzyknąłem. — Raczej wybiorę natychmiastową śmierć!

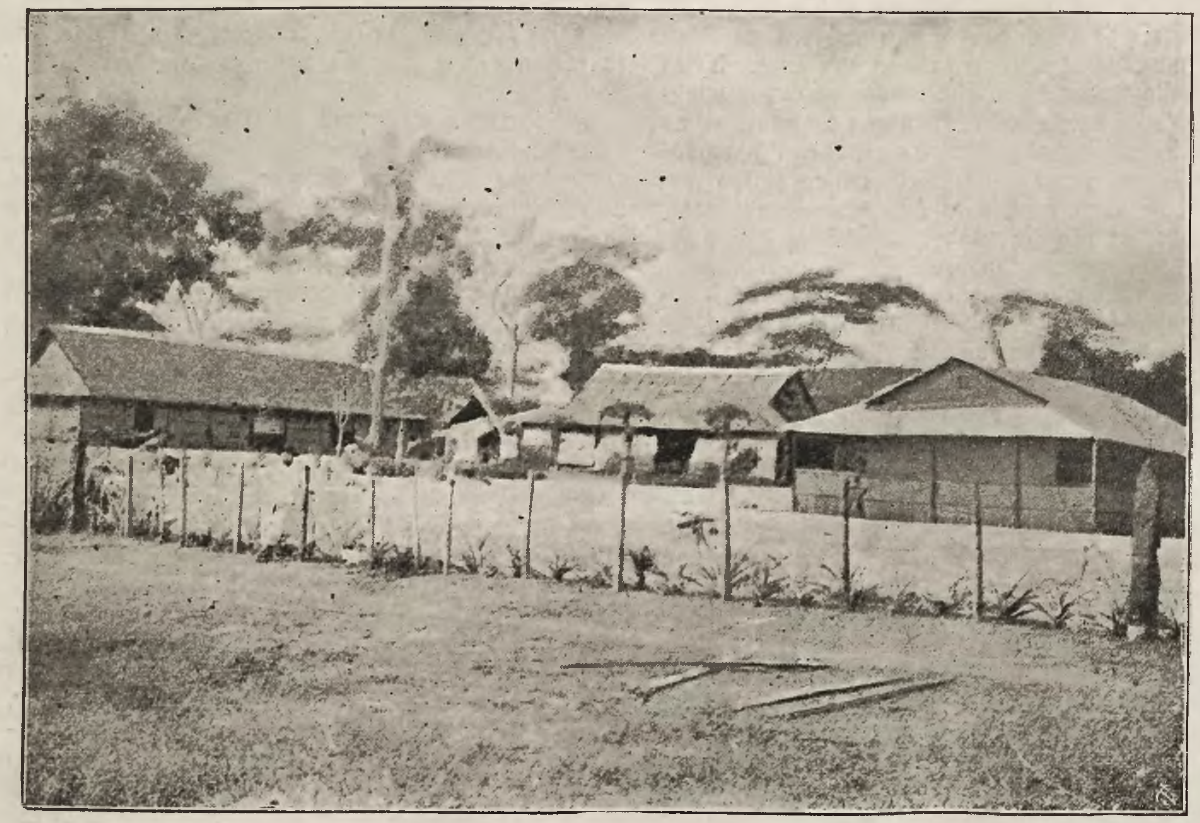
Giza odpowiedziała z szatańskim uśmiechem:

— Teraz odejdę i pozostawię ci czas do namysłu. Po dwu godzinach powrócę po odpowiedź. Jeżeli będziesz się jeszcze wzbraniał, to będę bezwzględną. Odjadę sama, rozkażę jednak temu człowiekowi, który moje zlecenia tak prędko wykonywał, by cię w tym niezamieszkanym domu zgładził. W ten sposób zostaje ci wybór między mną a śmiercią, bo nie zgodzę się nigdy na to, żebyś ożenił się z Leontyną de Brepont!

Z temi słowami zniknęła Giza znowu i na nowo pozostałem sam.

Nie było już co wątpić, bo powiedziała to całkiem seryo.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zatarg francusko-niemiecki: Francuska faktoria w Missum-Missum, miejsce napadu Niemców na straż francuską. (Treść na str. 9).

J. A. Skałon dotąd nie dał się poznać jako polityk i dyplomata, a jakkolwiek ukończył korpus paziów. poświęcił się wyłącznie karyerze wojskowej. Odbył kompanię turecką, jako ordynans gen. Hurki, który następnie zatrzymał go w swoim sztabie, jako oficera do szczególnych poleceń.

Po 7-letniem dowództwie w pułku ułanów, przechodzi Skałon do Petersburga, jako dowódca I-ej brygady kirasyerów gwardyi, gdzie później zostaje szefem dywizyi kawaleryi gwardyi. Przed 7-miu tygodniami mianowano Skałona pomocnikiem głównego dowódcy wojsk okręgu warszawskiego, a przed 10 dniami generał-gubernatorem.

Warszawianie zwrócili już uwagę, że Skałon, jak dotąd, różni się tem od swych poprzedników, że jeździ z żoną po mieście w zaprzęgu angielskim, a nie ruskim jak tamci, z „kuczerem“.

Prezydent Stanów Zjednoczonych i jego rodzina.

Prezydentura Stanów Zjednoczonych jest godnością, o której napróżno marzył i marzy niejeden z krezusów amerykańskich. Pierwszy obywatel Stanów—jak brzmi oficyalny tytuł prezydenta—musi być człowiekiem popularnym, znanym i cieszącym się zaufaniem wśród tego całego konglomeratu narodowości, który stanowi ludność północnej Ameryki. Bo godność prezydenta nie jest dziedziczną; co lat 6 Amerykanie wybierają sobie naczelnika, mającego reprezentować Stany wobec innych państw, a w wyborze decyduje jedynie liczba głosów. Łatwo zrozumieć, jaki mir musi posiadać u tych ludzi człowiek, na którego padnie największa ilość głosów.

Obecny prezydent Stanów, Teodor Roosevelt, był rzeczywiście jedną z najpopularniejszych w Ameryce postaci. Znaczenie jego i powaga wzrosły, zwłaszcza w ubiegłym miesiącu, kiedy dzięki jego głównie staraniom, doszedł do skutku pokój rosyjsko-japoński. W Portsmouth bowiem Roosevelt pośredniczył między Europą i Azyą, między rasą białą i żółtą. Dzięki temu honor, wpływ i znaczenie jego wzrosły niezmiernie.

Roosevelt zresztą już przedtem położył dla Stanów Zjednoczonych nie małe załugi. Zaraz po wyborze zerwał z polityką swojego poprzednika, który był zwolennikiem hermetycznego zamknięcia się Stanów od reszty świata. Roosevelt puścił się od miasta do miasta, by popularyzować nowy pro-



Ustąpienie Maksymowicza: Były generał-gubernator warszawski Maksymowicz.

Ustąpienie Maksymowicza.

Przed kilku miesiącami niemałe zdziwienie wywołało w Królestwie mianowanie generała Maksymowicza, atamana kozackiego, gubernatorem warszawskim. Zdziwienie to ustąpiło po części za jego przybyciem do Warszawy, gdyż były ataman kozacki okazał się na pozór człowiekiem bardzo inteligentnym, rozumiejącym sytuacyę, a przytem dosyć Polakom przychylnym.

Ustąpienie jego wywołało jednak zupełnie inne wrażenie.

Wiadomość, że generał-gubernator Maksymowicz zwolniony został z zajmowanego stanowiska, przyjęła ludność Królestwa z zadowoleniem. Rządy jego krótkie, bo zaledwie kilkomiesięczne, boleśnie i krwawo dały się we znaki społeczeństwu polskiemu. Był on bowiem, a raczej pozostał na swojem stanowisku tylko tem, czem był poprzednio: atamanem kozaków, generałem-czynownikiem. Nie chciał, a może i nie umiał zrozumieć duszy narodu, nad którego znaczną częścią miał sprawować rządy, nie rozumiał jego pragnień i dążności, nie uznawał ani jego praw, ani słuszności jego żądań.

W zarządzeniach Maksymowicza nie można było dostrzedz ani jednej myśli wznioślejszej, świadczącej, by posiadał sztukę rządzenia. Rządził według utartego szablonu biurokracyi, a na wszelkie odruchy gnębionego ludu, miał tylko jedną odpowiedź: gwałt i siłę. Ten system rządowy przypieczętował wreszcie ogłoszeniem stanu wojennego w Warszawie, dla którego sam niebacznie grunt przygotował. Nie dziw też, że pod jego rządami jeden wybuch gwałtowny następował po drugim, że anarchia w Królestwie wzmagała się z dnia na dzień. Gdy więc, poznawszy swoją nieudolność i bezsilność, ustąpił z zajmowanego stanowiska, ludność Królestwa ogarnęło zadowolenie. Ale trzeba przyznać, że zadowolenie to jest tylko przejściowem, bo niema widoków, żeby pod jego następcą stosunki ułożyły się pomyślniej.

Wraz z niespodziewaną dymisyą Maksymowicza, nastąpiła również niespodziana nominacya gen. Skałona, o którym po za opinią zdolnego kawalerzysty i dobrego gospodarza pułku, nic więcej powiedzieć nie było można.

Znany w Warszawie od lat 12-tu, zyskał sobie w sferach wojskowych sławę sprawiedliwego, lecz wymagającego dowódcy. Za jego szefostwa, tutejszy gwardyjski pułk ułanów stawiany był jako wzór dla innych pułków gwardyi. Wpływem swoim poskromił pijaństwo i karciarstwo wśród oficerów, usuwając opornych w tym względzie i z wielką oględnością przyjmując nowych.

Polaków oficerów nie przyjmował do pułku, ale tych, których już zastał, traktował lepiej, niż to się dzieje w innych pułkach.



Prezydent Stanów Zjednoczonych i jego rodzina: Prezydent Teodor Roosevelt w otoczeniu rodziny.

gram, głoszący potrzebę zbliżenia się do świata. Zniżono taryfy ochronne, poczyniono innym państwom ustępstwa, zbliżono się do nich. I dzięki temu Stany Zjednoczone, jako państwo duże, kulturne, pracowite, wysunęło się na pierwszy plan i zajęło miejsce przodujące, czego dowodem właśnie pokój w Portsmouth.

Prezydent Stanów Zjednoczonych, jest szczęśliwym małżonkiem i ojcem kilkorga dzieci. Najstarsza córka jego, Alicya, pięknością swoją i zaletami charakteru zjednała sobie sympatye nietylko Amerykanów, ale i całego świata. Reszta to jeszcze dzieci które się dopiero przygotowują do życia, by okazać się godnymi swego wielkiego ojca.

Załączona obok illustracya przedstawia prezydenta Roosevelta w otoczeniu rodziny.



Katastrofa kolejowa we Lwowie: Wozy nr. 7, 8 i 9 rozbitego pociągu stanisławowskiego.



Echa procesu o kradzieże kolejowe: Anastazy Holik. (Treść na str. 15).



Ustąpienie Maksymowicza: Jerzy Antonowicz Skałon, nowy generał-gubernator Królestwa Polskiego i dowódca wojsk warszawskiego okręgu wojennego.

Katastrofa kolejowa
we Lwowie.

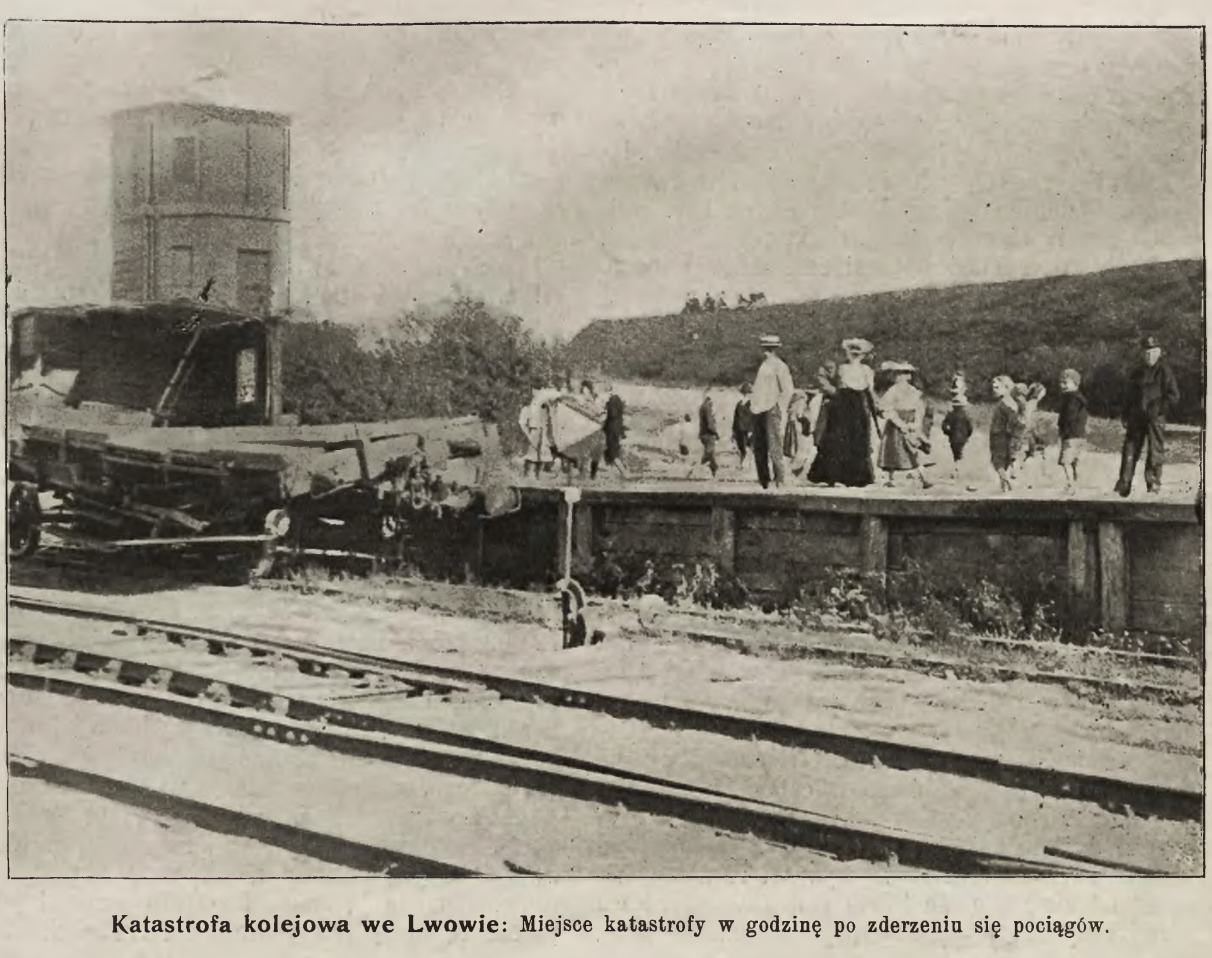
Wypadki kolejowe i to poważne, nie należą niestety do rzadkości w kolejnictwie austryackiem, a szczególnie galicyjskiem. Świeżo mamy do zanotowania bardzo poważną katastrofę kolejową, zaszłą w czwartek 7 b. m. tuż pod dworcem centralnym we Lwowie. A tylko przytomności umysłu zawdzięcza personal pociągów, które zostały wypadkiem dotknięte, że wyszedł cało z groźnego niebezpieczeństwa i że skończyło się tylko na znacznej szkodzie materyalnej.

Wypadek, o którym mówimy, zaszedł nad ranem o godz. wpół do czwartej. O tej porze mianowicie przychodzi do Lwowa pociąg towarowy ze Stanisławowa, o tej porze też mniej więcej, odchodzi ze Lwowa inny pociąg towarowy w kierunku do Stryja. W dniu krytycznym pociąg stanisławowski spóźnił się dość znacznie. Ponieważ zaś pociąg stryjski odszedł z dworca o zwykłym czasie, przeto przed wjazdem do Lwowa sygnalizowano pociągowi stanisławowskiemu, aby się zatrzymał. Tymczasem z niewyjaśnionych dotąd przyczyn — pociąg stanisławowski nie zatrzymał się, lecz pędził ze zwyczajną szybkością tym samym torem, którym wyjeżdżał pociąg zdążający do Stryja. Zderzenie było nieuniknione. W ostatniej chwili maszyniści mieli tyle tylko czasu, by ostrzedz personal i dać mu znaki odpowiednie do wyskoczenia z pociągów. To uratowało życie wielu ludzi. W tej chwili bowiem najechały na siebie obydwa pociągi. Rozległ się straszny, ogłuszający huk i trzask, z trzech maszyn i wielu wagonów posypały się odłamy żelaza i drzazgi, a tor na przestrzeni kilkunastu metrów zawaliły deski, wory, beczki, rozsypane zboże i t. d. Na dworze było jeszcze ciemno zupełnie, a tylko latarki konduktorów oświetlały słabo miejsce katastrofy. Przedewszystkiem stwierdzono, czy z personalu nikt nie stracił życia, lub nie został uszkodzony. Na szczęście wszyscy w czas wyskoczyli z pociągów i prócz lekkich kontuzyj, wskutek tego poniesionych, niema do zarejestrowania żadnego poważniejszego wypadku. Natomiast szkody materyalne, jakie ponosi skarb kolejowy, są bardzo znaczne. Przedewszystkiem silnie uszkodzone trzy maszyny i kilka wagonów, dwa zaś prawie zupełnie zniszczone. Nadto uległy zniszczeniu rozmaite towary, którymi wagony były naładowane.

Na miejsce wypadku przybyła wnet komisya kolejowa, poczem wzięto się bardzo energicznie do uprzątnięcia toru, tak, że koło południa już zaledwie resztki wagonów pozostały.

* * *

Obok załączone ryciny przedstawiają miejsce katastrofy, oraz jeden z najbardziej uszkodzonych wagonów.



Katastrofa kolejowa we Lwowie: Miejsce katastrofy w godzinę po zderzeniu się pociągów.

Ze świata.

Trzęsienie ziemi we Włoszech. — Przeszło 2.200 ofiar. — Dawne trzęsienia ziemi. — Rozchodzenie się fal trzęsienia ziemi. — Drożyzna mięsa. — Zatrucia mięsne. — Zatrucie tak zwane kiełbasiane. — Wiadomość z „wielkiego“ świata.

Gdy nam zagraża cholera, Włochy zostały nawiedzone przez bardzo silne trzęsienie ziemi, które przybrało rozmiary prawdziwej katastrofy żywiołowej. W piątek rano obserwatoryum doniosło, że przyrządy seismograficzne zanotowały oddalone, lecz bardzo silne trzęsienie ziemi, a już tego samego dnia popołudniu nadeszły telegramy o trzęsieniu ziemi we Włoszech. Obserwatoryum w Lublanie zapomocą swoich seismografów stwierdziło natychmiast tak oddalone trzęsienie ziemi.

O katastrofie tej nadchodzą ciągle nowe wiadomości, skutkiem czego na razie niepodobna stwierdzić jej rozmiarów. Ogniskiem trzęsienia ziemi była prowincya Consenza i Reggio di Calabria. W powiatach Cotrone, Monteleone di Calabria i Nicastro, obejmujących 152 gminy i 462 tysiące mieszkańców, trzęsienie ziemi zrządziło prawdziwe spustoszenie. W niektórych miejscowościach trzęsienie ziemi trwało zaledwie kilkanaście sekund, ale w tak krótkim przeciągu czasu, zdołało zniszczyć cały szereg kwitnących osad.

Minister robót publicznych, Ferraris, przybył koleją do miasta Rocera, a stąd odjechał do Monteleone. Ponieważ tor kolejowy w Kalabryi jest uszkodzony, pociągi kursują bardzo wolno. Podróżni, przybywający z Kalabryi, opowiadają o wstrząsających grozą scenach i widokach. Dworzec w Parghelia jest zupełnie zniszczony. Podróżni widzieli miejscowość z ziemią poprostu zrównaną, gdzie mężczyźni i kobiety, w bieliznę tylko odziani, wśród płaczu szukali pomiędzy gruzami swoich krewnych. Wszystkie dworce od stacyi Villa St. Giovanni aż do Santa Eufemia przepełnione są mężczyznami, kobietami i dziećmi, błagającymi o litość.

Wedle urzędowych sprawozdań liczne gminy są zupełnie zburzone. Liczba ofiar w prowincyi Cantazaro wynosi 450 zabitych i tysiące rannych. W Palmi cała ludność obozuje pod gołem niebem, wszyscy bowiem pozbawieni są dachu. Władza nakazała zdemolować tam 300 domów. W Pargheglia wydobyto dotąd z pod gruzów 30 zwłok, a w Melito wydobywanie zwłok ciągle jeszcze się odbywa. W jednym domu zginęło 11 osób. Pociągi towarowe przewożą setki trupów. W Joppolo liczba zabitych wynosi 200. W Martirano liczba zabitych i rannych wynosić ma przeszło 2.200. Na wyspie Stromboli trzęsienie było równie silne. Wszystkie domy są w rozmaitym stopniu uszkodzone, a kabel został przerwany.

Wspomnieliśmy, że przyrządy seismograficzne w Lublanie zaznaczyły trzęsienie ziemi we Włoszech mimo znacznej stosunkowo odległości. Niema w tem nic dziwnego, gdyż trzęsienie ziemi na odległość o wiele większą, daję się często odczuwać tak silnie, że bez przyrządów seismograficznych same tylko zmysły ludzkie mogą je stwierdzić. Podczas trzęsienia ziemi w Indyach pewien mieszkaniec Lublany, odległej o 6.000 kilometrów od miejsca katastrofy, w nocy o tym samym czasie, gdy katastrofa nawiedziła Indye, słyszał, leżąc w łóżku, jak miednica w umywalni skutkiem kołysania się uderzała o metalową umywalnię i dzwoniła. Równocześnie w Londynie kilkunastu mieszkańców słyszało dźwięk ruszających się szklanek i trzeszczenie szaf. Podobnie było dnia 1 czerwca b. r. podczas trzęsienia ziemi w Skutari, którego fale, jak stwierdziły zapiski seismograficzne, dotarły aż do Japonii.

Zajmującem było trzęsienie ziemi z d. 9 lipca b. r. Owego dnia przyrządy seismograficzne w Lublanie zaznaczyły trzęsienie ziemi, którego ognisko znajdowało się w odległości 6.000 do 7.000 kilometrów. Ale dotąd nie ma wiadomości, gdzie to ognisko znajdowało się. Prawdopodobnie leżało w głębiach Oceanu i dlatego nikt nie mógł o niem z miejsca donieść. Ryszard Kisker, konsul holenderski w Szczucinie, dokładnie o tym samym czasie odczuł trzęsienie ziemi. Było to o godzinie 11 minut 15. Konsul znajdował się wówczas na nabożeństwie w kościele św. Jakóba, gdy nagle bez żadnego powodu wielkie świeczniki, wiszące u sufitu, zaczęły wykonywać ruch wahadłowy i to od północy ku południowi.

Skończmy o trzęsieniu ziemi, a przejdźmy do kwestyi mięsa. Jak wiadomo w całej Austryi ludność utyskuje na zbyt wysokie ceny mięsa, a czynią to zwłaszcza mieszkańcy wielkich miast. Publiczność zarzuca rzeźnikom wyzysk, rzeźnicy natomiast odpowiadają, że bydło podrożało, skutkiem czego i ceny mięsa musiały pójść znacznie w górę.



Franciszek Frączkowski.

We Wiedniu, Lwowie i Przemyślu magistraty otworzyły miejskie jatki z taniem mięsem, a w Krakowie mają wkrótce powstać również takie jatki: jedna na placu św. Ducha, druga na Kaźmierzu. Jak się ta walka miast z rzeźnikami skończy, trudno przewidzieć. Burmistrz miasta Wiednia dr. Lueger, znany z energii, zapowiedział niedawno na posiedzeniu tamtejszej rady miejskiej, że nie spocznie tak długo, dopóki Wiedeńczycy nie będą mieli dobrego i taniego mięsa. U nas odgraża się magistrat, odgraża prezydent miasta, ale skutki tych gróźb są dotąd niewidzialne.

Skoro mowa o mięsie, zwrócić muszę uwagę ogółu na artykuł lwowskiego lekarza dra Ferdynanda Stankiewicza p. t. „O tak zwanych zatruciach mięsnych“. Artykuł ten pojawił się w krakowskim „Przeglądzie lekarskim“, a chociaż jest pracą naukową, mimo to każdy może go z pożytkiem przeczytać. Do cięźkich zatruć mięsnych należy tak zwane zatrucie kiełbasiane, które w roku ubiegłym we Lwowie taki popłoch wywołało. Mięso zawierające swoiste bakcyle („bac: botulinus“) i rozkładające się skutkiem tego, bywa używane do wyrobu kiełbas i wywołuje epidemię. Warunki sprzyjające tworzeniu się wspomnianych bakteryj są następujące:

1. Użycie mięsa nieświeżego.
2. Mięszanie mięsa siekanego z mózgiem, mlekiem, rodzynkami, bułką i t. p.
3. Wypełnianie taką mięszaninę grubych odcinków jelit.
4. Niedostateczne uwędzenie.

Objawy zatrucia kiebasianego — pisze dr. Stankiewicz — są tak znamienne, że łatwo je rozpoznać można. Na objawy te składają się w pierwszym rzędzie zaburzenia nerwowe przejawiające się przeważnie w zakresie mięśni, zaopatrywanych przez nerwy, wychodzące z mózgu (porażenia akomodacyi wzroku, rozszerzenie źrenic, opadnięcie powiek, podwójne widzenie, bezgłos, suchość błon śluzowych jamy ustnej i t. d.) Objawów żołądkowo-jelitowych najczęściej brak, lub zjawiają się one tylko chwilowo. Choroba trwa zazwyczaj krótko, kilka, najwyżej kilkanaście dni; śmiertelność dosyć wysoka, około 40 proc.; w razie pomyślnym wyzdrawianie powolne liczy się na tygodnie, a nawet miesiące.

Na ostatek wiadomość z „wielkiego“ świata. Oto urząd ochmistrzowski austyackiego dworu w Wiedniu ma rozstrzygnąć jednę ze spraw finansowych ks. Ludwiki Koburskiej, żony ks. Filipa, która uciekła z zakładu dla obłąkanych w Coswig i znajduje się obecnie w Paryżu. Księżna pobierała od ojca swego, króla Leopolda belgijskiego, 50.000 franków rocznie „na szpilki“, a później od męża 72.000 koron na utrzymanie. Gdy księżna została uznaną za obłąkaną, kurator jej rozporządzał temi kwotami, z których pozostało z biegiem lat 62.000 koron. Otóż ks. Ludwika żąda wydania jej tej sumy, którą może obecnie podjąć jako osoba własnowolna. Prócz tego w Budapeszcie, gdzie przebywa obecnie jej mąż, skarży go Ludwika o wypłatę utrzymania, aż do rozstrzygnięcia skargi rozwodowej. Ks. Ludwika otrzymywała od męża 6.000 koron miesięcznie, obecnie jednakże ks. Filip przestał jej wypłacać tę sumę. Stąd proces ks. Ludwiki. *k. e.*

Franciszek Frączkowski.

Teatr krakowski jest dla nas, Polaków czemś więcej, aniżeli teatrem w zwykłem tego słowa znaczeniu. On ma dla nas znaczenie stokroć większe, jest bowiem ogniskiem, w którem koncentruje się Myśl polska, żywem słowem stamtąd promieniejąca. Scena krakowska — to dla nas skarbiec myśli narodowej, kościół, w którym mają kwitnąć najczystsze tej myśli kwiaty. Ma ona być dla nas ogniskiem naszej umysłowości i naszych uczuć, sceną polską, i to sceną pierwszą. I jeżeli dbamy o nasze teatry, których przecież i tak mamy za mało w stosunku do liczby ludności, a nawet do poziomu kultury, to przedewszystkiem dbać musimy o teatr krakowski. To nas, Polaków, święty obowiązek.

A jednak z bólem serca musimy przyznać, że właśnie ten teatr krakowski jest zawsze, ze zmianą dyrekcyi, przedmiotem kramarstwa. Tą świątynią Sztuki, frymarczy się u nas co sześć lat, robiąc z niej przedmiot handlu i obniżając przez to jej znaczenie. Przyznajmy się! Mieliśmy dotychczas zaledwie jednego tej sceny dyrektora, który rzeczywiście rozumiał, czem jest i czem ma być teatr krakowski. Był nim Tadeusz Pawlikowski. Państwo Kotarbińscy, którzy objęli puściznę po Pawlikowskim, sądzili, że teatr, nawet krakowski, jest tylko „interesem“ i trzymając się tej zasady, „robili interesa“, aż teatr zeszedł do poziomu ogródkowych teatrzyków. Na szczęście skończyła się ich dyrektura. Teatr oddano p. Solskiemu, który dawał najlepsze gwarancye, że zdoła naprawić to, co zepsuli pp. Kotarbińscy i podnieść teatr na wyżynę pierwszej sceny polskiej.

Nie jesteśmy bynajmniej uprzedzeni do p. Solskiego. Wierzymy w jego dobre chęci i zamiary, ale też dlatego właśnie nie możemy nie zwrócić uwagi, że początek, że pierwsze dni działalności nowego dyrektora, obudziły powszechne rozczarowanie. Sympatye publiczności są zawsze jeszcze po stronie p. Solskiego, lepiej więc będzie, że odrazu powiemy, co jest źle, bo p. Solski będzie mógł jeszcze to, co złe, naprawić, a temsamem utrzymać to zaufanie, jakie sobie pozyskał. Wiemy, że pierwsze kroki dyrektora są trudne, ale też obowiązkiem naszym jest wykazać odrazu błędy.

Mówiliśmy w poprzednim numerze, że scena krakowska straciła tak znakomitą siłę, jaką był dla niej p. Mielewski. Dziś z przykrością przychodzi nam donieść, że z grona artystów ubywa jeszcze jedna siła, młoda wprawdzie, ale już wybitna, a mianowicie p. Frączkowski. Artysta to, jak wspomnieliśmy, młody, ale jeden z tych nielicznych, dla których sztuka jest boginią, a której oni wiernymi kapłanami. Miłość dla sztuki, zapał, a przytem szczera, prawdziwa chęć pracy, jaką się odznaczał p. Frączkowski, sprawiły, że w czasie swego krótkiego, bo zaledwie sześcioletniego — z przerwami — pobytu na scenie, pozyskał sobie nietylko uznanie u publiczności, ale i wszystkich krytyków. Pamiętamy wszyscy jego przepyszną kreacyę Maciusia w „Zaczarowanem kole“. Była to rola, w którą p. Frączkowski tchnął życie i czar, w której okazał się w całej pełni jego piękny talent. A talent ten rozwijał się ciągle, z każdym dniem. W każdej nowej roli błyszczał nowymi blaski, że wspomnimy tu role najważniejsze, jak Aloszkę w „Dzieciach Waniuszyna“, które to dzieło p. Frączkowski przyswoił polskiej scenie, Kalekę w „Złotej czaszce“, Stasia obłąkanego w „Sybirze“, studenta Piotra w „Mieszczanach“ i tyle, tyle innych.

P. Frączkowski wstąpił na scenę za dyrekcyi Pawlikowskiego, pod którym był przez pół roku. Zaangażowany przez pp. Kotarbińskich, był przez rok w Krakowie, poczem wyjechał do Ameryki, w sprawie budowy teatru narodowego. Wzięty potem do wojska służył w Sebastopolu, aż w roku 1903 znowu powrócił do Krakowa, gdzie pozostawał do dziś dnia, lubiany przez publiczność, szanowany przez kolegów i uznawany przez krytyków.

Teraz musiał ustąpić. Teatrowi ubyła więc jeszcze jedna siła i to dość znaczna. A przecież tych sił jest teraz tak mało! P. Solski nie widzi, zdaje się, że personal jego nie dorósł do wymagań, jakie się stawia naszej scenie. Zwracamy mu na to uwagę, w nadziei, że zechce zło naprawić. Bo, powiedzmy otwarcie, źle się coś dzieje za kulisami.

Czekamy, daj Boże, aby było lepiej.



Włościańska polska bursa w Tarnopolu: Zewnętrzny widok gmachu przy ul. Smykowieckiej.



Włościańska polska bursa w Tarnopolu: Uroczystość poświęcenia gmachu dokonana w dniu 2 b. m. przez ks. dr. Twardowskiego.

Echa procesu o kradzieże kolejowe.

W marcu ubiegłego roku rozegrał się przed trybunałem przysięgłych w Krakowie olbrzymi proces konduktorów kolejowych, oskarżonych o cały szereg kradzieży, popełnianych systematycznie przez dłuższy czas w wagonach pakunkowych. Oś procesu stanowiła kolia brylantowa hrabiny Borkowskiej, wartości 80 000 koron, którą skradziono z zamkniętego kosza, nadanego jako pakunek pasażerski w Fiume do Brodów. Podejrzenie o kradzież tej kolii padło na konduktora Pilawskiego. Śledztwo wykazało jednak, że w tej nieczystej sprawie maczał ręce jeszcze jeden z zegarmistrzów krakowskich Anastazy Holik. W procesie kolejarzy zasiadał więc i Holik na łonie oskarżonych, pod zarzutem uczestnictwa w kradzieżach kolejowych przez to, że kupował od oskarżonych konduktorów różne rzeczy złote, pochodzące z kradzieży, między innemi, że kupił i ową kolię hrabiny Borkowskiej.

Holik zasłaniał się dobrą wiarą i twierdził, że znał Pilawskiego jako człowieka majętnego, nie przypuszczał więc, że kupowane odeń brylanty są kradzione i na podstawie tego tłómaczenia został wyrokiem przysięgłych uwolniony. Pilawski, jak wiadomo, został skazany na 6 lat ciężkiego więzienia głównie za kradzież kolii hr. Borkowskiej.

Wdrożono jednak dalsze dochodzenie karne, które wykazało i złą wiarę Holika i to, że Holik z całą świadomością o zbrodniczem pochodzeniu kolii od Pilawskiego ją nabył.

Ponieważ dalej znaleziono u Holika dwie brosze złote, skradzione z kosza p. Gabryeli Mierzeńskiej, a wiedziano, że Pilawski, jako dobry znajomy Holika, ułatwiał swoim kolegom pozbywanie skradzionych rzeczy, że przeto brosze te dostały się w jego posiadanie przez Pilawskiego, więc prokuratorya państwa oskarżyła Holika o to, iż kupił od Pilawskiego i kolię hrabiny Borkowskiej i owe brosze p. Mierzeńskiej, wreszcie, że podczas procesu w roku ubiegłym nakłaniał jednego ze świadków, Ludwińskiego, do składania fałszywych zeznań na jego korzyść.

Hrabina Borkowska zaskarżyła dyrekcyę kolei o odszkodowanie za kolię. Wyrokiem sądu przyznano jej 20.000 koron.

Rozprawa Holika, która się odbyła 12 b. m. przed zwykłym trybunałem orzekającym pod przewodnictwem radcy Raczyńskiego, stanowi epilog skandalicznych procesów kolejowych.

Holika, którego fotografię zamieszczamy w dzisiejszym numerze, broni znany adwokat dr. Rudolf Frühling.



Talizman Kuropatkina: Ikon, ofiarowany Kuropatkinowi przez carową-wdowę, przed jego wyjazdem na pole wojny. (Treść na str. 3).

Włościańska polska bursa w Tarnopolu.

Dzień 2 b. m. zapisał się w rocznikach Tarnopola pięknym, podniosłym aktem poświęcenia i oddania do użytku gmachu włościańciej polskiej bursy. Aktu poświęcenia dokonał czcigodny ks. dr. Twardowski, przedstawiwszy w zwięzłych słowach cele i zadania instytucyi. Bursa powstała wyłącznem staraniem i ofiarnością mieszczan i oko-



Przesilenie na Węgrzech: Andrzej György minister rolnictwa.

licznego obywatelstwa. Jednopiętrowy budynek, wznoszący się przy ul. Snykowieckiej, mieści w sobie, prócz pomieszkań dla zarządu i służby, obszerne dwie wspólne sypialnie dla wychowanków, każda na trzydzieści kilka łóżek, wielką salę do nauki, postępowo urządzone łazienki z tuszami, kuchnie etc. W zakładzie zainstalowane są wodociągi i oświetlenie elektryczne. Opłata miesięczna za mieszkanie i całkowite utrzymanie wynosi w bursie od poszczególnego wychowanka kor. 16. Dzięki więc szlachetnej inicyatywie i ofiarności obywatelstwa tarnopolskiego, będą mogli synowie biednych wieśniaków bez troski o dach i kawałek chleba, oddawać się nauce i w pomyślnych warunkach wyrosną na pożytecznych członków społeczeństwa.

W numerze niniejszym podajemy dwa zdjęcia fotograficzne, dokonane na miejscu: pierwsze przedstawia zewnętrzny widok gmachu, drugie uroczysty akt poświęcenia tegoż.

Przesilenie na Węgrzech.

Od roku już rozgorzała na Węgrzech walka między rządem a narodem węgierskim, trwa nieustannie i przybiera coraz większe rozmiary. Koalicya stronnictw opozycyjnych z Kossuthem i Apponyim na czele, nie ustąpiła ani na krok od swego programu, nie zarzuciła ani jednego ze swych żądań. A żądania te są wyrazem uczuć całego narodu węgierskiego i to właśnie stanowi przyczynę, że koalicya mogła do dziś dnia trzymać się jak mur i nie ustąpić. Mając cały naród za sobą, koalicya czuje grunt pod nogami, podstawę, o którą się może pewnie i bezpiecznie oprzeć. Po rozwiązaniu sejmu, tej ostatniej desce ratunku dla rządu i rozpisaniu nowych wyborów, koalicya uzyskała w sejmie jeszcze większą przewagę, aniżeli miała przedtem, a skutkiem tego było ustąpienie hr. Tiszy i jego całego gabinetu. Ustąpienie to miało miejsce w czerwcu b. r.



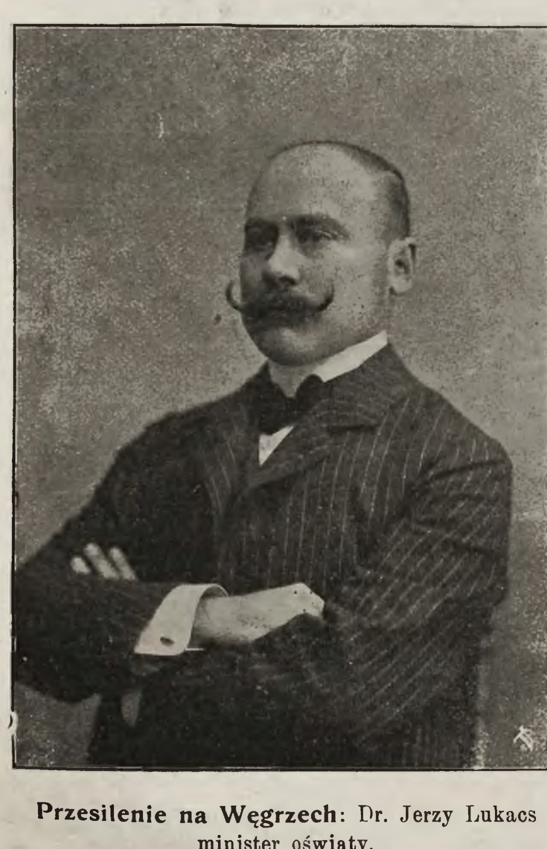
Przesilenie na Węgrzech: Władysław Vörös minister handlu.



Przesilenie na Węgrzech: Franciszek Bihar minister honwedów.



Przesilenie na Węgrzech: Baron Fejervary prezydent ministrów.



Przesilenie na Węgrzech: Dr. Jerzy Lukacs minister oświaty.



Przesilenie na Węgrzech: Józef Kristoffy minister spraw wewnętrznych.

Cesarz powierzył prezydenturę ministrów, po niefortunnym hr. Tiszy, baronowi Fejervary'emu. Już wtedy jednak, zaraz po nominacyi Fejervary'ego, przepowiadano, że jest to gabinet tylko przejściowy, bo jako gabinet urzędniczy nie zdoła utrzymać się długo i musi ustąpić.

I tak się stało. We wtorek ubiegły, to znaczy już po dwu miesiącach, baron Fajervary podał się wraz z całym gabinetem do dymisyi. Fejervary chciał jeszcze w końcu ratować sytuacyę rządu; miał on zamiar zreformować przedewszystkiem ustawę wyborczą, zaprowadzić na Węgrzech powszechne prawo głosowania, którego rezultatem, jak sądził, byłoby stworzenie nowej większości, wyszłej z warstw o głębszem poczuciu społecznem i politycznem. Zbierającemu się dnia 15 b. m. parlamentowi węgierskiemu chciał przedłożyć natychmiast projekt reformy wyborczej, a na wypadek dalszej obstrukcyi koalicyi opozycyonistów, rozwiązać parlament i zaprowadzić nowe wybory pod znakiem powszechnego prawa głosowania.

Kto wie, czy Fejerwary nie miał racyi, sądząc, że przez nadanie powszechnego prawa głosowania rozbije dotychczasową większość opozycyjną, osłabi znacznie koalicyę. Przed zgłoszeniem swojej dymisyi przedstawił więc bar. Fejervary swój plan cesarzowi, ale cesarz odrzucił cały plan reformy wyborczej. Fejervary'emu nie pozostało więc nic innego, jak zgłosić dymisyę swoją i całego gabinetu.

Ale rzecz charakterystyczna. Najzacieklejszy opór przeciw reformie wyborczej stawił — austryacki prezydent ministrów, baron von Gautsch. Obawiał on się, że w razie zaprowadzenia na Węgrzech powszechnego prawa głosowania, radykalne



Przesilenie na Węgrzech: Bartłomiej Lanyi minister sprawiedliwości.

stronnictwa podejmą walkę o reformę i austryackiego parlamentu, a rezultatów tej walki przewidzieć dzisiaj nie można. Ponieważ zaś sprawa przesilenia na Węgrzech nie jest sprawą wspólną, ale specyficznie czysto wewnętrzą sprawą węgierską, która więc bar. Gautscha nie powinna nic obchodzić, przeto przesilenie węgierskie przybrało jeszcze większe rozmiary, bo rząd sam znowu przyczynił się do rozjątrzenia całego narodu węgierskiego i uczynił sobie zeń wroga.

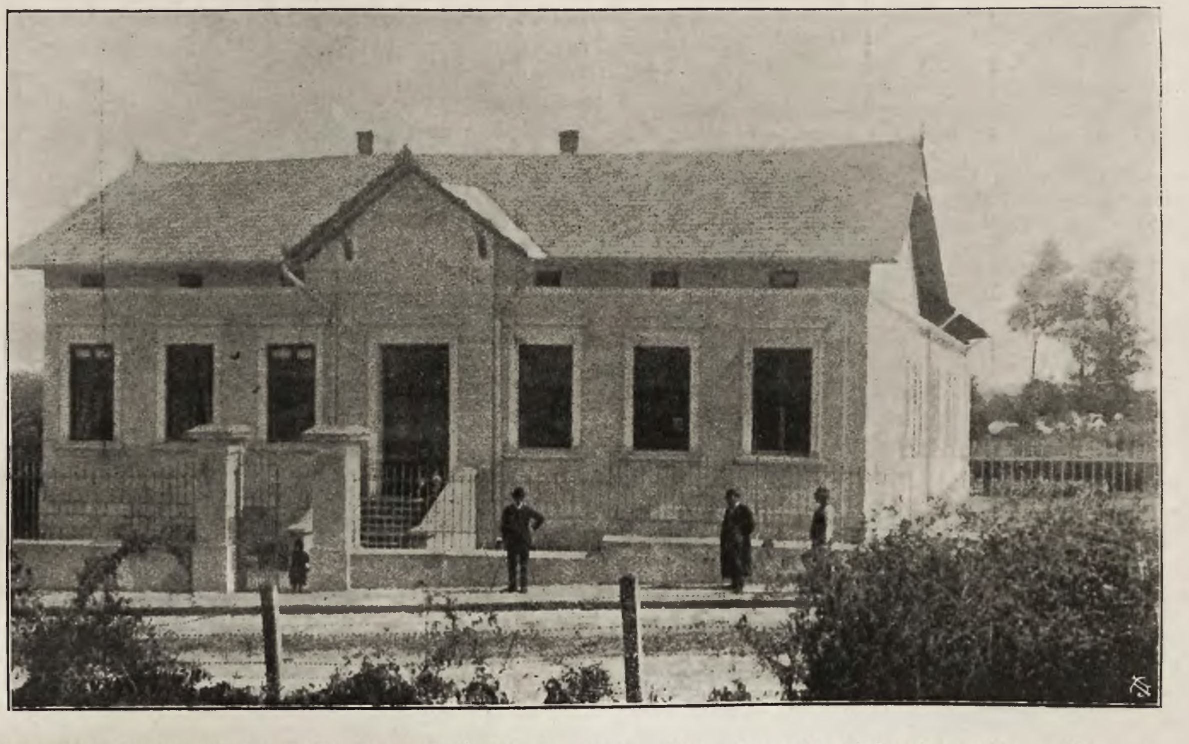
Tak więc przesilenie węgierskie znajduje się w stadyum największego napięcia. Walka narodu o swoje prawa, o węgierską komendę w wojsku węgierskiem i o oddzielenie Węgier od Austryi, zyskuje coraz więcej szans zwycięstwa. Rząd austryacki, a raczej austryacka kamaryla dworska, odmawiająca narodowi węgierskiemu jego najsłuszniejszych żądań, musi ustąpić. Bo gdzie walczy naród z kliką, tam naród zwyciężyć musi.

Podajemy obok portrety wszystkich członków ustępującego gabinetu węgierskiego.

Pierwsza żydowska bursa w Austryi.

Żydzi znani są ze swej solidarności i ofiarności, ograniczającej się przeważnie do własnego społeczeństwa i środowiska. Tarnopolscy żydzi przyszli też rychło do przekonania, że dla starozakonnej młodzieży potrzeba osobnego zakładu dobroczynno-wychowawczego, gdzieby młodzieńcy wychowywani w zasadach wiary i etyki mojżeszowej — mieli zapewnioną opiekę i nadzór domowy. W niedługim czasie stanął w Tarnopolu, przy ul. Kolejowej, przestrony budynek parterowy, mieszczący w sobie pierwszą żydowską bursę w Austryi. W budynku znajdują się 3 wspólne sypialnie, biblioteka książek szkolnych, mieszkania zarządu i niezbędne w zakładach podobnych urządzenia i adoptacye. Na obszernym placu, zaopatrzonym w przybory gimnastyczne, mogą pupile w wolnych chwilach zażywać zdrowej rozrywki. Wychowankowie otrzymują za miesięczną opłatą 20 kor. mieszkanie i wikt rytualny.

W niniejszym numerze podajemy zdjęcie żydowskiej bursy w Tarnopolu — a mianowicie widok zewnętrzny gmachu przy ul Kolejowej.



Pierwsza żydowska bursa w Austryi: Świeżo do użytku oddana bursa dla biednych uczniów w Tarnopolu.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

16 (Ciąg dalszy).

Zdziwiony, potrosze nawet przerażony, udałem się do kancelaryi a doktór, przymknąwszy dobrze drzwi, rzekł do mnie łagodnym głosem:

— Muszę pomówić z panem, panie Najpert! Wprawdzie jest to rzecz prywatna i nie ma nic wspólnego z pańską pracą w mojej kancelaryi, ale sądzę, że wobec dobrodziejstw, jakie ci nieraz wyświadczyłem, mam prawo wyrazić ci, tak moje ubolewanie, jak i naganę za takie postępowanie! A przytem chciałbym udzielić ci dobrej, przyjacielskiej rady!..

Ten wstęp zbił mnie całkiem z tropu i ułatwił doktorowi wygraną. Szczwany lis nie pozwolił mi nawet oprzytomnieć i zaczął prawić kazanie, w jaki sposób ja mogę pozwalać mojej córce na „miłostki“ z Rudolfem Springerem! Jak długo tylko mnie robił wyrzuty, słuchałem go w milczeniu z pokorą podwładnego, ale gdy począł czynić o Grecie uszczypliwe uwagi i miotać na nią oszczerstwa, krew uderzyła mi do głowy i wybuchła długo tajona wściekłość na tę bandę!...

Wprost powiedziałem mu, że wolno mu kontrolować mą pracę, do moich domowych spraw i stosunków wara mu tkać nosa, a potem wprost zwróciłem się do Franciszka i z oburzeniem oświadczyłem, że moja Greta jest uczciwą dziewczyną i kto ją posądza o lekkomyślne miłostki, ten jest podłym oszczercą! Dodałem też, że jego brat, jak uczciwy człowiek, przyszedł do mnie i prosił o rękę Grety, a ja zgodziłem się na to, lecz pod tym warunkiem, że Bernard Springer zezwoli na to małżeństwo.

Franciszek, z jakąś niespokojną miną, kręcił się po pokoju i nie zwracał nawet uwagi na to, co ja mówię, a zamiast niego, odpowiedział mi doktor Harras i to nie, jak się spodziewałem, z gniewem, lecz przeciwnie, z nadzwyczajną łagodnością... Powiedział mi, że stary Springer nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo i że moje postępowanie nietylko unieszczęśliwi Gretę, ale także i Rudolfa... Wydziedziczony, wygnany z rodzicielskiego domu, znajdzie zamknięte wszystkie te drzwi, które dziś stoją dlań otworem i wpadnie w nędzę, która będzie dla niego tem cięższą, że był wychowany wśród wygód i zbytków i nie wiedział nigdy, co to znaczy brak czegoś. Dodał też, że nawet nie chce wspominać, jaki los czeka wtedy córkę, którą tak kocham i że on, nie jako mój chlebodawca, ale jako przyjaciel, radzi mi, żebym Gretę zmusił do wyrzeczenia się Rudolfa.

Gdyby mi to był kto inny powiedział, z pewnością uznałbym słuszność tych zapatrywań, tembardziej, że takie same myśli z tysiąc razy budziły się w mej głowie podczas ostatniej doby, ale nie mogłem słyszeć tego z ust doktora Harrasa i rzekę oświadczyłem mu, że omówiliśmy to wszystko bardzo dokładnie z panem Rudolfem i że mojem zdaniem, prócz ojca jego, nikt nie śmie mieszać się do tej sprawy.

To powiedziawszy, ukłoniłem się i już chciałem odejść, gdy ten łotr zatrzymał mnie jeszcze:

— Mój drogi Najpert! — rzekł jakby z jakiemś wahaniem — pańskie zaślepienie zmusza mnie, niestety, do wyłuszczenia panu całej prawdy, o której wolałem zamilczeć. Jeśli dalej pozwolisz, na stosunek swej córki z Rudolfem, to nie tylko jego ojcu i bratu przysporzysz smutku, lecz także trzeciej, całkiem niewinnej osobie, która ma do Rudolfa starsze i świętsze, o wiele świętsze prawa!

Grom spadł na mnie z jasnego nieba. Jak tonący, który brzytwy się nawet chwyta, drżącym głosem zapytałem Franciszka:

— Czy to prawda, panie?!

— Niestety! Doktor Harras wie dobrze, co mówi! To szczera święta prawda!...

Musiałem się oprzeć o biurko, bo nogi zachwiały się podemną.

— A jak... jak nazywa się ta dama? – wykrztusiłem z wysiłkiem.

— Zrozumiesz pan chyba, panie Najpert — rzekł doktor, wzruszając ramionami — że nie mogę wymienić ci jej nazwiska, póki ona sama nie zezwoli mi na to. Zdaje mi się jednak, że pozwolenie to z jej strony otrzymam, a tymczasem musisz pan zadowolić się tem bezimiennem oświadczeniem. I cóż teraz zamyślasz robić?...

— Natychmiast napiszę do pana Rudolfa Springera, żeby się usprawiedliwił!...

— Tak? zanim masz dowody w ręku, którebyś mógł przeciwstawić jego zapewnieniom? Sądzę, że to do niczego nie doprowadzi! Będzie to tylko czcza gadanina!...

— A mógłby mi pan dostarczyć tych dowodów, panie doktorze?

— Tak! — odpowiedział Harras z współczuciem — jeśli zechcesz poczekać cierpliwie dwa dni, dam ci dowody, że miłość Rudolfa Springera, to nie serdeczna, głęboka miłość, ale miłostka, której ofiarą padłoby twoje ukochane dziecko!

Zatoczyłem się jak pijany i omal, że nie padłem na podłogę. Teraz byłem przekonany, że nadzieje Grety są zniszczone, że serce jej będzie złamane. Stosownie do życzenia Harrasa, dałem mu słowo, że przez dwa dni będę unikać spotkania z Rudolfem i że przed Gretą ani słówka nie wspomnę o tem, czego się teraz dowiedziałem i na tem skończyła się moja audyencya u doktora.

Tego samego dnia po mieście rozeszła się pogłoska, że stary Bernard Springer dostał ataku apopleksyi i jest umierający. Nie mówiono o tym wypadku ani z żalem, ani ze współczuciem, bo chociaż Bernarda szanowano, jako uczciwego człowieka, to jednak nikogo bliżej on nie obchodził. Ale mnie dziwnie przykry był ten wypadek. Pomyślałem, że to nagłe zasłabnięcie człowieka w sile wieku, może stać w związku z Rudolfem i z Gretą i starałem się ukryć przed nią tę smutną wiadomość. Ale... nie udało mi się tego zataić. Nazajutrz rano doktor Harras nie przyszedł do biura, lecz przysłał kartkę, że cały dzień musi spędzić u Springerów i nie życzy sobie, aby tam po niego posyłać. Pełem smutnych myśli poszedłem w południe do domu i zdziwiło mnie to ogromnie, że Greta nie wybiegła, jak zwykle, na moje powitanie. Wszedłem do kuchni, nie było jej tam, w izbie mieszkalnej także jej nie znalazłem. Drżącym głosem zawołałem na nią... Nikt mi nie odpowiedział!... Jak szalony wbiegłem do jej pokoiku i krzyknąłem rozpaczliwie:

W samym środku izdebki na podłodze leżała Greta, blada jak trup, bez znaku życia. Skoczyłem ku niej, dźwignąłem ją na ręce i położywszy na łóżku, zacząłem ją trzeźwić. Po kwadransie dopiero otworzyła oczy i głębokie westchnienie wydarło się z jej piersi. Na moje zapytanie, czy nie chora może i czy mam posłać po doktora, potrząsnęła główką przecząco i usnęła. Dopiero wieczorem dowiedziałem się, co zaszło w moim domu.

Zaraz rano, gdy tylko poszedłem do biura, zjawił się w mym domu jakiś pan i jakaś pani. Pan przedstawił się jako Franciszek Springer i prosił Gretę o chwilę rozmowy w cztery oczy. Ona zgodziła się na to i zaprosiła go do swego pokoiku, a wtedy Franciszek jota w jotę powtórzył jej to samo, co mnie mówił doktor. Greta nie dawała się jeszcze przekonać, a wówczas on sięgnął po najsilniejszy pocisk. Z współczuciem oświadczył biednemu dziewczęciu, że Rudolf jest już z kim innym zaręczony, a gdy Greta nazwała to bezczelnem kłamstwem, otworzył drzwi i poprosił damę, z którą przybył, aby rozmówiła się z Gretą i sam dyskretnie cofnął się na chwilę do kuchenki. Co ta dama powiedziała Grecie, może się pani domyśleć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA LWOWSKA.

(Radość kucharek i pokojówek. – Kto odgadnie przyczynę? – Nic z tego. – Cholera i środki antycholeryczne. – Co należy czynić? – Dwa projekty. – Chybione środki. – Dajcież im żyć. – Jeszcze o drożyźnie mięsa. – Michalski wrócił. – Czem się zachwycali warszawiacy i dlaczego odjechali bez pożegnania. – Co jest zdrowsze? – Katastrofa kolejowa. – Komunikaty kolejowe, a komunikaty Filharmonii. - Śmiały abonament, a nieśmiali abonenci. – Zamilczone reduty. – Kto jest filarem? – Pani Bohuss i jej mąż. – Recenzye. – Brak recenzyi, a skromność. – Rabunek. – Ogólna wesołość. – Wypuszczeni na wolność. – Szczęście w Galicyi. – Zakończenie.)

Już dawno, bardzo dawno, nie widziano kucharek, pokojówek i wszelkich pomywaczek tak szczerze uradowanych i wesołych, jak w tym tygodniu. W każdej kuchni wzorowy porządek, talerze, półmiski i rondle połyskują jak słońce, szyby u okien kuchennych lśnią wspaniałym blaskiem, a twarze wszelkiego gatunku służebnic promienieją jakiemś szczęściem!.. Co się stało? Czy wszystkie zamąż powychodziły, czy parlament uchwalił dla nich jakąś regulacyę płac i emeryturę, czy przyznano im prawo głosowania, czy wszystkie chlebodawczynie powymierały, czy szach perski odznaczył je orderami za smaczną kuchnię polską? Nie, nie, — to wszystko byłoby niczem, zerem, głupstwem — radość nie byłaby tak ogólną, powszechną i tak wielką. Nie stroiłyby się i nie czesałyby głów od szeregu tygodni nieczesanych, nie wyglądałyby tak ponętnie, te okrutne i piękne nasze nimfy służebne. A więc może u Grunda w Lesienicach przygotowuje się grand-szwenderbal z kotylionem i kwarglami? I to nie! A więc co, co przyspieszyło radosne tętno tych gotujących i dywany trzepiących serc? Oto wojsko wróciło z manewrów. Wszystkie nasze Kasie, Franie, Hanie, Heleny, Julki, Nastki, Joasie i jak tam się jeszcze nazywają, wzięły na tę niedzielę nieograniczony urlop i wyszły na spotkanie swoich ukochanych.

Zapomniały biedaczki o świecie bożym, o glistach w wodociągach lwowskich, o drogiem mięsie, o długach swoich chlebodawców, o zbliżającej się cholerze i t. p. sprawach, obchodzących nas w tej chwili tak żywo.

Co do cholery, to gdyby ona wiedziała, ile się u nas o niej mówi i pisze i nie robi, jakie niebezpieczne rzeczy przygotowują się na jej przyjęcie i jak bardzo odgrażamy się jej — z pewnością unikałaby Lwowa. Dość powiedzieć, że na ostatniem posiedzeniu naszej rady miejskiej padł śmiały wniosek, aby nietylko wybrać specyalną komisyę dla zwalczania cholery, ale żeby całą radę miejską przemienić w stałą komisyę antycholeryczną! Na szczęście cholera podobno nic o tem wszystkiem nie wie i złoży nam wizytę z całą pewnością. Ażeby jednak przysłużyć się naszej radzie miejskiej, tak ubogiej w dobre, a radykalne pomysły, przynoszę dwa antycholeryczne, a niezawodne projekty:

1) Należy dokładnie zbadać i opisać celniejsze ulice Lwowa, które wyliczyłem w poprzedniej mojej kronice (Kazimierzowska, Grodecka, Słoneczna, Szpitalna, całe Żółkiewskie etc.), odfotografować niektóre ciekawsze widoki z tych ulic, odnośną broszurę z illustracyami przesłać cholerze do przestudyowania, a można być pewnym, że szanująca się cholera nie zechce z narażeniem swego istnienia i zdrowia wdepnąć do naszego miasta, gdzie mogłaby się nabawić — cholery, wprawdzie może nie azyatyckiej, ale o wiele gorszej, bo lwowskiej.

2) Gdyby jednak, mimo wszelkich przestróg, nieopatrznie wpadła do Lwowa, należy ją wprowadzić do hotelu Żorża. Można być pewnym, że po obejrzeniu rachunku za pierwsze trzy dni, czmychnie ze Lwowa bezpowrotnie.

Wszelkie inne środki zapobiegawcze są chybione, a zamiar oczyszczenia ulic i domów lwowskich można śmiało „włożyć między bajki". Lwowskie kamienice na tych śmieciach stoją, z nich żyją, ich wonią oddychają i odżywiają się. Spróbujcie usunąć śmiecie, a kamienice zapadną się, mieszkańcy wymrą do jednego, a państwo zbankrutuje z powodu horrendalnych zaległości podatkowych. Dajcie im więc żyć nie zabijajcie ich!

Zupełnie inaczej ma się rzecz z drożyzną mięsa. Pan prezydent Michalski wrócił już z urlopu, gdzie nietylko odświeżył się należycie, ale zarazem przestudyował urządzenie wiedeńskich jatek gminnych, skosztował mięsa wiedeńskiego, a teraz przyjechał do Lwowa i codziennie po południu czytuje w kawiarni amerykańskiej artykuły o drożyźnie mięsa, o kłopotach wiceprezydenta Rutowskiego, o głosach opinii i czeka z objęciem rządów miasta, aż się ta hryja skończy. Trzeba było naprawdę tęgiej głowy, aby ten cały fortel z mięsem prowincyonalnem, dla zatkania ust ludności, zostawić innemu. Tymczasem rzeźnikom nie podoba się konkurencya mięsa prowincyonalnego i na zgromadzeniach swoich oburzają się na prezydyum miasta, doradzając mu, jak ma postąpić wobec drożyzny mięsa. To tylko we Lwowie zdarzyć się może...

To też dwaj warszawiacy, którzy przyjechali do Lwowa na samochodzie, kazali sobie dokładnie tę komedyę opisać, ażeby nią potem bawili ludzi w Warszawie. Prócz tego, zachwycali się „gmachem" dyrekcyi skarbu, którą początkowo wzięli za kryminał. Kiedy im wyjaśniono, że to gmach, w którym się mieszczą kapitały galicyjskich podatników — odjechali bez pożegnania. Ratusz lwowski, uniwersytet i kilka innych ozdób miasta, chciano im pokazać, gdy już siedzieli w pudle, ale mieli dość i przyspieszyli kroku. Ulicy Serbskiej także nie widzieli. Pomimo przebycia takiej drogi automobilem, przyjechali zdrowo, a tylko wyjeżdżając ze Lwowa, skarżyli się na zawrót głowy. Wynika stąd jasno, że łatwiej przebyć zdrowo najdłuższą drogę nawet samochodem, niż przeżyć trzy dni we Lwowie...

Doszło do tego, że automobiliści dumni są teraz i z powodu ostatniej katastrofy kolejowej śmieją się serdecznie ze wszystkich urządzeń kolejowych, twierdząc, że jazda samochodem jest o wiele pewniejsza. Bądź co bądź, wypada nam jednak cieszyć się, że podczas tej katastrofy żaden z pasażerów nie zginął. Głównie dlatego, że były to dwa pociągi towarowe. Sama katastrofa była snać bardzo nieznaczna, skoro dyrekcya kolejowa rozesłała o niej kilkuwierszowe komunikaty do dzienników.

Natomiast wielkie komunikaty rozesłała tut. agencya koncertowa, nazywająca się jeszcze ciągle, niewiadomo czemu, „Filharmonią lwowską". Wyliczono tam prawie wszystkich istniejących wirtuozów, a nawet „czyniąc zadość licznym życzeniom melomanów" — życzeniom nigdy i nigdzie nieobjawionym—ustanowiono abonamentowe karty, swoją drogą bardzo dowcipne, bo mające za zadanie zmusić do chodzenia na koncerty tych wszystkich, którzyby po pierwszym koncercie pożegnali się raz na zawsze z Filharmonią. Można jednak być spokojnym, że nikt nie będzie miał odwagi zaabonować się aż na 25 koncertów, bo nikt nie zechce płacić z góry za pięć lat. Podziwiać tylko tych śpiewaków i pianistów, którym chce się grać lub śpiewać przy akompaniamencie bandy wojskowej. Nic jednak nie wspominają komunikaty te o redutach, które przecież są jedynym dobrym interesem lwowskiej Filharmonii. Ta skromność p. Lityńskiego zasługuje na publiczną pochwałę... A frekwentantki redut są już w obawie... Nie trwóżcie się piękne masie... Raczej nie dotrzyma się zapowiedzianych koncertów, ale reduty będą, będą bez zapowiedzi... A zresztą one są podwaliną muzykalności Lwowa, bo tak: muzykalny Lwów żąda koncertów i nie chodzi na nie, p. Lityński do koncertów dokłada, więc, ażeby módz dokładać do koncertów, urządza reduty z milionem atrakcyj i na nich zarabia — *ergo* reduty są najważniejszym filarem muzykalnego Lwowa.. Proszę siadać!..

Za to opera w teatrze miejskim zapowiada się ładnie. Świeżo podpisała kontrakt pani Bohuss-Hellerowa. Przy tej sposobności nie zaniedbał mąż jej, pan Heller, donieść światu, gdzie jeszcze śpiewała i śpiewać ma piękna pani Irena... A więc Medyolan, Madryt, Londyn, proszę na bok! — Paryż i jeszcze dalej, a we Lwowie wystąpi tylko 8 razy, słowami: ośm razy i ani odrobinkę więcej, choćbyście wszyscy stanęli na łysinach, bo zaraz potem idzie prawdopodobnie: Nowy Jork, Budapeszt, Rzym, (uważajcie!) Neapol, Wenecya, Florencya, Chicago, Kalkutta, Bombay... — no, servus! Że nam jednak p. Heller nie przysyła do kraju i nie ogłasza w tutejszych dziennikach tłómaczonych (bodaj niedosłownie) recenzyj zagranicznych dzienników włoskich, angielskich i t. d., to zastanawia tych wszystkich, którzy chcieliby usłyszeć o pięknej ulubienicy Lwowa zdanie, nie męża... zdanie obcych, zdanie recenzentów... Ale skromność nadewszystko, więc nie wywołujmy wilka z lasu...

Poza tem wszystko w porządku. Wprawdzie jakiś tam łobuz dopuścił się śmiałego rabunku w biały dzień, wprawdzie złodzieje kradną, a nożowcy zakłuwają na ulicach ludzi, jak barany, wprawdzie „dyrekcya polityki", czy tam dyrekcya policyi i jej organa dowiadują się o tem wszystkiem przy końcu, ale za to w mieście przeważnie wesoło, muzyka „rżnie" w każdej drugiej kawiarni, tynglówki śpiewają w każdej trzeciej restauracyi, ludziska żenią się w każdym domu.

Nawet aresztowanych fałszerzy banknotów wypuszczono na wolność, gdyż okazało się, że nie oni fałszowali banknoty, a kto inny — oni zaś siedzieli za to, że nie poznali się na falsyfikatach. Ostatecznie musiało się kogoś zamknąć, więc siedzieli. I dobrze się stało. Gdyby bowiem byli odkryli w kasach swoich fałszywe banknoty bez pomocy policyi, biadaliby, że stracą tyle pieniędzy. Dziś wypuszczeni na wolność szczęśliwi są i zapominają już o stratach. I są ludzie, którzy twierdzą, że w Galicyi nie można być szczęśliwym...

Na zakończenie wypadałoby mi coś wspomnieć o wyścigach cyklistów na placu powystawowym — bo u nas prócz tego urządza się ustawicznie wyścigi na ulicach miasta. Na tych pierwszych nie rozumiem się, a drugim przypatruję się codziennie, a często sam zmykam przed rozjuszonym cyklistą, który dziwnym zbiegiem okoliczności wtedy właśnie wjeżdża mi w drogę kiedy chodzę głęboko „zamyślony" lub zapatrzony w gwiazdy...

Wreszcie krótka dykteryjka, kursująca obecnie po Lwowie — jak to przyrzekłem w poprzedniej pogadance. Przy ulicy Piekarskiej mieszka pewna dowcipna wdówka. Onegdaj przyjęła do służby wiejską, naiwną dziewczynę. Wieczorem już z łóżka zawołała wdówka na służącą:

— Marysiu, przynieś mi tu szklankę wody na zęby.

Marysia wielce się zdziwiła, ale podług rozkazu przyniosła wodę. Zdziwienie jej było ogromne, gdy ujrzała, że jej pani istotnie wyjmuje z ust dwie uzębione szczęki i wsuwa je do szklanki.

— Podaj jeszcze jedną szklankę — zawołała pani — abym na noc przechowała oko.

Pod Marysią zatrzęsły się kolana, ale pobiegła do kuchni i przyniosła szklankę wody. Pani najspokojniej wyjmuje szklane oko i spuszcza je do szklanki... Gdy wreszcie dowcipna wdówka spostrzegła, że Marysi włosy wstają na głowie, odezwała się do niej, obejmując sobie rękami głowę, jakby ją odśrubować chciała:

— A teraz przynieś mi stołek na głowę...

— Joj! — wrzasła przerażona Marysia, wypadła z mieszkania i nie chciała już wrócić do tej „jakiejś czarownicy, czy co.." *Kleve.*

Kącik humorystyczny.

Za kulisami.

Inspicyent (do dyżurnego strażaka): Jeżeliby, co nie daj Boże, która z tancerek stanęła w płomieniach to bezzwłocznie otulić ją mokrym kocem i silnie przycisnąć do siebie!

Strażak (do siebie): Żeby też która chciała choć trochę się zatlić.

W zastępstwie.

Lekarz wojskowy (przy wezwaniu szczepienia ospy): Gdzież to gefrejter Miller?

Gefrejter Szulc: Bez trzy dni na urlopie, ja za niego objąłem wszelkie zajęcia służbowe i mam się też dać i za niego szczepić.

Nie inaczej.

— Od czasu zaręczyn spozieram ze spokojem w życie. Wykluczone odtąd bym jako „stara panna" sama przesiadywała w domu.

— Młoda mężatka: I jako mężatka należy często samej w domu przesiadywać!

Dwuznaczne.

Panienka: Przepraszam, że przy panu tak wygrywam na fortepianie... to moja słaba strona.

Gość: To już słyszałem!

Naocznie.

Dama (niezwykle wydekoltowana) do swego wielbiciela.

— Jakże się panu podobam w mej balowej toalecie?

— Jest pani piękna jak Ewa... w raju.

Chytry.

Terminator: Pan majster się kłania i przysyła nowy tużurek!

— Ależ wszak tu brak dziurek do guzika.

— Majster wieczorem przyjdzie z rachunkiem to pewnie ze sobą przyniesie.

Na dworcu.

Konduktor: Pani woli może damski przedział?

Podróżna (z oburzeniem): Co? Czy już tak staro wyglądam?

Gabryela Morska-Popławska.

Objąwszy dyrekcyę krakowskiego teatru, p. Solski rozwijając plan swojej przyszłej działalności na tak odpowiedzialnem stanowisku, oświadczył w interewiewie jednemu z dziennikarzy, że ma zamiar repertuar teatralny, który zwłaszcza w ostatnim roku tak nisko upadł, podnieść i nadać mu ton więcej europejski, godny pierwszej polskiej sceny. Wymienił też cały szereg najznakomitszych dzieł literatury naszej, swojskiej i zagranicznej, które ma zamiar wystawić w bieżącym sezonie. Między innemi mają być grane dzieła Wyspiańskiego, które jeszcze nie były grane, utwory Przybyszewskiego, Kasprowicza, Staffa, Orkana, poza tem szereg arcydzieł, jakie w ostatnich czasach wydała zagranica, ze szczególnem uwzględnieniem wysuwającej się dziś na czoło wszystkich literatur, literatury rosyjskiej.

Bardzo ładnie. Program wspaniały, ale — i tu jest „ale". Patrząc na personal teatralny, jaki ma do rozporządzenia p. Solski, mimowoli przychodzi nam na myśl, że ten program cały, to — jak mówi Wyspiański — tylko: „słowa, słowa i... słowa"...

I rzeczywiście. Personal taki, jaki obecnie jest w teatrze krakowskim, jest tak słabym, że nawet marzyć nie można, aby te rzeczy, o jakich mówił p. Solski, można było kiedyś na naszej scenie wystawić. Przecież w tym całym składzie trupy teatralnej, jest zaledwie kilka sił, które zasługują na miano artystów, zwłasza teraz, kiedy ze sceny tej ubyły siły takie, jak pp. Mrozowska, Mielewski i Frączkowski. Trupa, w takim składzie, jak dzisiaj, jest raczej *„szkołą dramatyczną"*, a nie trupą miejskiego teatru w Krakowie. Narzekano za dyrekcyi Kotarbińskich, że personal jest ogromnie słaby, dzienniki wypisywały piorunujące mowy i groziły, że „autorzy" nie będą dawać sztuk do teatru, bo ich niema kto grać, a przecież teraz jest



faktem, że personal ten jest jeszcze słabszy, że wyrugowano zeń najlepsze siły, a zaangażowano na ich miejsce miernoty. Z jakich pobudek? W to nie chcemy wchodzić. Ale faktem jest także, że siły są, i to zdolne, a p. Solski ich nie angażuje.

Szczególnie słaby jest personal kobiecy. Są zaledwie trzy artystki, które ratują jeszcze sytuacyę a to panie: Solska, Wysocka i Ordonówna. A to jeżeli się marzy o wystawianiu arcydzieł, jest stanowczo za mało! I nie możemy rzeczywiście zrozumieć, dlaczego p. Solski nie zangażuje np. pani Morskiej-Popławskiej. Przecież to artystka, którą każda scena polska chlubić się może, przed którą zagranica chyliła czoło i wieńczyła ją wawrzynami. Pamiętne są przecież jej słynne występy w teatrze „Globe"w Londynie, jej kolosalne tryumfy w Petersburgu. Chlubiła się nią Warszawa, Łódź i Poznań i Kraków zachwycał się nią czas dłuższy. System oszczędnościowy pp. Kotarbińskich zmusił ją do ustąpienia ze sceny krakowskiej, ale jesteśmy przekonani, że Kraków powitałby ją znowu owacyjnie, gdyby ją ujrzał na naszej scenie.

Pani Morska, jedna z najlepszych Klar, jakie się w ostatnich czasach ukazały na scenie w „Ślubach panieńskich", artystka o wielkim talencie, pełna temperamentu, przytem o nader sympatycznym wyglądzie, byłaby dla sceny naszej siłą nie „użyteczną"; ona jest wobec tych wszystkich miernot „niezbędną" i powtarzamy, że nie rozumiemy, dlaczego p. Solski nie korzysta ze sposobności, by taką siłę zaangażować. Przecież bez niej trudno wystawić Fredrę, a niema artystki, któraby ją mogła zastąpić w „Odrodzeniu", w „Hardych duszach", w „Flipocie" itd. itd. Brak jej już teraz daje się na scenie dotkliwie odczuwać, a cóż dopiero mówić o „wielkim repertuarze"?!

W takiej „szkole dramatycznej", jaką jest obecnie teatr krakowski, potrzeba sił, żeby módz „cokolwiek" wystawiać. Już teraz publiczność sarka, a przecie teraz grają ciągle sztuki stare i ograne. Trzeba ratunku na gwałt, a ratunek jest tylko jeden: zaangażować siły wybitniejsze i zerwać ze systemem oszczędnościowym, który widocznie i p. Solski chce wprowadzić.

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

10 **(Dokończenie).**

— Pozdrów odemnie twą matkę.

Soszino odrzekła:

— Dobrze. Cierpliwości.

Kosziro skinął głową.

Dziewczę wyszło z pokoju.

Gdyby wiedziała, że miecz przez nią zabrany, pozostanie jej na pamiątkę i że ostrzem jego utnie sobie włosy.

IV.

Harakiri.

Płomień lampy rzuca blade światło, Powietrze, przenikające przez szparę okna, rozdmuchuje i podnieca chwilowo płomień.

Na łożu, zasłoniętem parawanem, siedzi Kosziro bardzo blady. Ciało jego wychudło. Opiera się on na swym mieczu i po hyla głowę, tak, iż jego długie włosy w dół opadają.

Dziś po raz ostatni ogląda siebie. Zdecydował się umrzeć. Lecz póki serce jego bije, władają nim myśli o ziemi. Myśli o żonie swej.

„Nazywa się Wakabą — „młody listek". Podobna jest bardziej do kwiatka. Wszyscy zachwycają się jej pięknością i charakter jej godny jest miłości i ona mnie kocha. Mówią, iż nawet myśliwy nie zabija ptaka, tulącego się w przestrachu do piersi, ptak nie umie mówić i nie odczuwa namiętności, myśliwy przywykł do widoku śmierci i serce jego jest twarde. A jednak nie zabija on ptaka.

Nie zapomniałem Soszino, towarzyszki mej młodości, lecz żyłem przecież połowę miesiąca z Wakabą; czyż mogłem jej nie pokochać. Jak ona będzie nad tem ubolewać. Czyż nie umrze ona ze smutku? Przyczyniłem jej cierpienia stokroć gorsze od śmierci. Czyż tak należało postępować? Żegnając ją, uśmiechałem się fałszywie i mówiłem jej pieszczotliwe słowa, by ulżyć jej rozstanie. Biedna kobieta!"

Kosziro myślał o chwili rozstania z żoną.

„Było to w lutym. Poranek wiosenny. Śnieg pokrywa ziemię; pływały szare obłoki... Słońce nie wypłynęło jeszcze na niebo; było ciemno. Płaczące wierzby szumiały; pąki ich nieco nabrzmiały; lecz z zimna nie można było ustać na miejscu.

Szron osiadł na pancerzu. Rozlegało się pianie koguta. Z domu wyszedł młodzieniec, a z nim piękna kobieta. Trzymała go prawą ręką, lewą poprawia mu broń. Koło domu siedział żołnierz w lekkiem uzbrojeniu. Poznał swego pana i podał mu słomiane sandały.

— Zaświtało — rzekł żołnierz.

Młody rycerz kiwnął tylko głową, wdział sandały i rzekł:

— Wakabo, podaj mi hełm.

Wtedy żołnierz podszedł do kobiety i wziął z rąk jej hełm.

Mąż i żona spojrzeli na siebie.

Stali nieruchomo, nie wyrzekli ani słowa.

Czworo oczu spoglądało na siebie coraz głębiej. Oto spadła kropla z oczu Morizane.

Żołnierz liczył gwiazdy na hełmie i spoglądał w stronę.

Wakabe głośno załkała; Morizane pochwycił ją za rękę i chciał objąć, lecz w tej chwili żołnierz się spojrzał. Morizane puścił jej rękę; cofnął się o krok.

Wakabe zawołała:

— Jeszcze jedna chwila! — I pochwyciła za rękojeść miecza.

Kosziro opuścił rękę i krzyknął:

— Żegnaj i bądź zdrowa! Idziemy, Rokurato!

Wakabe przykucnęła i rzekła drżącym głosem:

— Żegnaj!

Podniosła się szybko i odprowadziła ich do bramy. Patrzyła za oddalającymi się.

Są jeszcze niedaleko. Słychać brzęk pancerza.

Chce zawołać, lecz wstyd jej przed żołnierzem, opiera się o bramę. Ciało jej drży; pierś faluje.

Raz jeszcze spogląda za nimi. Postacie ich maleją. Lewy pancerz biały — to jej mąż! Oto rozstajne drogi. Postacie zbliżają się ku sobie. Oto tam błyszczy halabarda. Należy ona do mojego męża. Teraz obie postacie znikają w mgle.

W oczach jej ciemnieje; ociera łzy i znów spogląda w dal. Lecz nic więcej nie widać.

Wakabe mocno opiera się o pień, lecz jest zbolała; wszystkie członki ją bolą, oczy nabrzmiały, źrenice nie poruszają się; myśli płączą. Niema już smutku ani miłości, ani męża. Nawet o sobie Wakabe nie myśli więcej.

Zdala dochodzi odgłos dzwonów surm wojennych. Wakabe oprzytomniała. Przymyka oczy i składa ręce:

— Hahimanie, wielki boże wojny!

Morizane rzekł do siebie:

— To są kobiece myśli!

Wyciągnął długi miecz. Soszino zabrała krótki. Obejmował klingę od ostrza do rękojeści i od rękojeści do ostrza; na przestrzeni pięciu cali od rękojeści widniała kropla krwi. Morizane uśmiechnął się. Pozostało to po ostatniej walce z żołnierzem. Miecz powinien zabijać wrogów, a teraz użyje go do „harakiri". Czyż spodziewał się tego? Lecz, jeśli teraz nie umrę, sprzeniewierzę się memu panu. Nie mogę wypełnić obowiązku względem wuja i żony. Miecz poprowadzi mnie w życie zagrobowe, do moich rodziców. Miecz pomoże mi zachować wierność swemu panu; spełnić obowiązek rycerza. Chociaż miecz ten nie broni mojego ciała, jednak jest mi wierny Chętniebym zemścił się na nieprzyjacielu przed śmiercią, lecz wuj mnie powstrzymywał. Mieczu, nie mogę nasycić twego pragnienia krwi, nie mogę wynagrodzić twoich zasług. W tem jest mój błąd. Jeśli posiadasz duszę, poczujesz, że masz złego pana. Teraz musisz jeszcze rozpruć brzuch tego człowieka i będziesz się tego wstydził. Gdy później wynajdziesz sobie innego pana, nie powiem nikomu, że to ja cię nosiłem. Inaczej, będą się z ciebie wyśmiewać, żeś należał do tak marnego rycerza; nikt nie zechce cię nosić i klinga twoja zardzewieje w kącie. Mieczu mój — dziedzictwo mojego ojca. Spieszę do moich rodziców.

Kosziro owinął klingę rękawem i pozostawił wolnem tylko ostrze. Odpiął ubranie, obnażając pierś.

Chciałby pozostawić list swemu wujowi, by mu podziękować, lecz rany od strzał przeszkadzają mu pisać. Jutro przyjedzie wuj zdrowy i szczęśliwy. Moi zaś towarzysze poginęli, pan mój zginął smutną śmiercią. Czyż mogę winszować szczęścia wujowi?

Kochał mnie bardzo, bardzo się zasmuci. Być może, żona jego się rozchoruje. Jest bardzo słaba, a mimo to chodzi codzień do świątyni. Gdyby był teraz wolny, napisałbym do Wakaby, iż jestem zdrów. Wakaba się pewnie niepokoi. A ty, Soszino, zapomnij o mnie. Takiem jest przeznaczenie! Gdy powtórnie żyć będę na ziemi, połączymy się na zawsze. Nie zapomnę twej twarzy a i ty nie zapomnij o mnie. Wybacz mi zło, które ci wyrządziłem i strzeż się, by nie rozchorować się ze smutku i nie zaniepokoić swych rodziców. Jest to ostatnie moje życzenie.

Rozległ się dzwon, obwieszczający północ.

„Amida Budda, bądź mi miłościw!"

Kosziro zatopił miecz w swój brzuch. Z rany trysnęła krew. Ręka jego drżała. Przygryzł mocno wargi i pięścią ciął dalej w prawą stronę...

— Byłaś narzeczoną Morizane — rzekła Wakabe.

Przybyła odrzekła jej:

— Tyś była żoną Morizane.

Spojrzały na siebie,

Czerwone promienie jutrzenki padały przez okno. Minęła noc.

K O N I E C.

LUDWIK STASIAK

Rachunek adwokacki

Humoreska.

Dr. Józef Poderwa jest znakomitym cywilistą, choć przez to wcale nie chcę powiedzieć, jakoby on był mniej biegłym jako obrońca karny. Bo i na polu sztuki krasomówczej złożył dowody niepospolitego talentu. Przecież kilka dni temu, gdyśmy w handlu Goldwassera obchodzili imieniny radcy, wniósł znakomicie zredagowany toast, który się nam wszystkim podobał. Ale głównem zajęciem jego są sprawy cywilne. Na punkcie prawa spadkowego jest genialnym. Jeśli idzie o rabulistykę podczas rozpraw handlowych, niemasz sobie równego. Proszę się tedy nie dziwić, że świat się Poderwie nisko kłania, że zbiera on uznanie i laury. Uważam to za zaszczyt, że gram z nim w kajennę, że łączą nas osobiste stosunki. Dziś spotkałem Dr. Józefa Poderwę pod apteką.

— Jak się masz, Józku?

— Dziękuję ci. Spałem dobrze.

— Może zapalisz papierosa? Służę ci! Prawdziwy tytoń: Princessas.

— Dla mnie zbyt mocny.

— Sądzisz, że szkodzi zdrowiu?

— No, naturalnie. Ja ci radzę palić tytoń hercegowiński, jasny. Mało w nim nikotyny i nie drapie w gardle. Mocny tytoń sprawił, że Podpiórkowski zachorował zatruty nikotyną.

— Ale zdrów już jest?

— No, oczywiście. Chłop jak dąb. Wszak go znasz dobrze.

— Niestety, znam.

— Dlaczego, niestety?

— Przykro o tem mówić, jeśli się jednak o tem zgadało, to ci wyjawię. Ale może ty nie masz czasu, może na ciebie czekają klienci, może w twej kancelaryi adwokackiej niecierpliwią się ludzie?

— Ależ nie.

— Może w sądzie masz jakie sprawy?

— Ależ nie. Mam czasu do licha. Mów o Podpiórkowskim.

— Głupstwo. Czyste głupstwo. A jednak często i głupstwo zraża. Drobna pożyczka, a przecie drażni. Przed laty czterema zaciągnęliście obydwaj u mnie pożyczkę. Tyś pożyczył odemnie dwieście koron, a on pięć. Pomimo, że mu się kilkakrotnie upominałem, oddać nie chce.

— Nie chce, powiadasz?

— Nie chce.

— Ja to załatwię.

Wytrzeszczyłem na mego przyjaciela oczy. Bo ja drżę przed jego adwokackim talentem...

— Jakto załatwisz?

— Rachunek mój i rachunek Podpiórkowskiego wyrównanym zostanie.

Sorce mi z radości zabiło.

— Oddasz mi dług, Józku? Dwieście koron?!

— Mówiłem przecie, że załatwię.

— Załatw, mój drogi! Załatw! — wołałem rozczulony.

* * *

Za kilka dni spotkałem Dr. Poderwę znowu pod apteką.

— Co słychać, Józku? Może zapalisz papierosa?

— Nie. Tytoń Princessas jest za mocny. Zaszkodził on Podpiórkowskiemu... A propos... Podpiórkowski odpowiedział na mój list adwokacki.

— Tyś pisał list do niego?

— Żądałeś przecie załatwienia tej sprawy.

— Tak jest. Żądałem. I cóż Podpiórkowski?

— Odpowiedział, że nie zapłaci.

— To bezczelność!

— Zapewne, że to bezczelność. Bądź jednak zadowolonym. Tyś się naprawdę w czepku urodził.

— Czemu?

— Bo dzięki Podpiórkowskiemu, suma 200 koron, które ci winien jestem, zostanie dziś jeszcze umorzoną.

Myślałem, że oszaleję z radości.

— Dziś?! Zatem dziś?

* * *

Za kilka godzin otrzymałem od mecenasa Dr. Józefa Poderwy list. Na kopercie było napisane: Wewnątrz saldo. Jakie saldo? Przecie ja żadnych finansowych spraw koledze memu nie powierzałem. Nerwowo rozerwałem kopertę. Co za zdumienie!

. . . .

W kopercie był papier. Na papierze... Na papierze był nowy dowód olbrzymiego adwokackiego talentu. Nie ulega kwestyi, że Dr. Poderwa jest najznakomitszym naszym cywilistą. Oto doslowny tekst listu Dr. Poderwy:

Rachunek adwokacki.

Konferencya pierwsza w dniu 20 października w sprawie pożyczki 5 koron dokonanej przez Podpiórkowskiego	8 k.	— h.
Podróż do Krakowa, aby się dowiedzieć o wypłacalności dłużnika	21 „	68 „
W dniu mej podróży słońce świeciło	16 „	18 „
Tytoń Princessas jest mocniejszy od Hercogowińskiego o	8 „	85 „
Pożółkłe liście lecą z drzewa	2 „	13 „
Koncept listu, pisanego dnia 22 października do Podpiórkowskiego	2 „	50 „
W tym samym dniu słońce jesienne świeciło	10 „	02 „
Przepisanie listu adwokackiego	2 „	18 „
Pożółkłe liście leci z drzewa	3 „	32 h.
Koszta kopiowania listu na maszynie	— „	50 „
Opłata listu poleconego	— „	45 „
Pochód na pocztę, aby nadać list	1 „	— „
W dniu 20 października jesienne słońce świeciło	1 „	42 „
Przestudyowanie odpowiedzi Podpiórkowskiego, która nadeszła 24 października	8 „	— „
Listonoszowi napiwek	— „	20 „
Dnia 24 października jesienne słońce świeciło	11 „	42 „
Druga konferencya prawna o szkodliwości tytoniu Princessas	8 „	— „
W dniu konferencyi barometr opadł o	40 „	20 „
Jesienne słońce świeciło	5 „	01 „
Wybuch zaś Wezuwiusza w Neapolu szkody	30 „	— „
Sporządzenie tego rachunku	5 „	60 „
Saldo	200 „	15 „

Zestawienie:

Dług zaciągnięty przed czterema laty	200 „	— h.
Rachunek adwokacki załączony	200 „	15 „
Pozostaje do zapłacenia	— „	10 h.

Wybiegłem jak szalony z domu. Radość moja granic nie miała. O ile Dr. Poderwa, pisząc dla mnie rachunek, okazał się jednym z najlepszych naszych cywistów, o tyle przy „zestawieniu“ potknęła mu się noga. Bo oszukał samego siebie. Uczynił to przez pomyłkę i przeoczenie. Wszak w końcu jego rachunku nie widzę należytości za „zestawienie“. Za sporządzenie rachunku policzył sobie 5 kor. 60 hal. Za zestawienie rachunku nie policzył sobie nic. Co za pomyłka! Przedewszystkiem zestawienie kosztowałoby mię dużo. Powtóre podczas zestawienia zapewne słońce świeciło. Musiało też lecieć pożółkłe liście z drzewa. Wiem notorycznie, że barometr w tym dniu spadł o pięćset koron. Mógł był wybuchnąć Wezuwiusz i zrobić w Neapolu szkodę na jakich kilka milionów, które ja byłbym musiał zapłacić. Trzeba lecieć. Zapłacę 15 halerzy zanim się połapie. Bo ja drżę przed talentem adwokackim znakomitego cywilisty Dra Józefa Poderwy...

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożyła H. M. Turbia.

I.

Druga czwarta Turkom znana.
Przez nich tłumnie odwiedzana.
Czwarta trzecia dzieciom dają,
Gdy rodziców nie słuchają.
Pierwsza — sama, *druga* wspaw —
Zowią się litery.
Całość — łatwo ją zgadniecie,
Gdy pomyślicie o świecie.

II.

Pierwsza trzecia — to mieścina,
Druga trzecia — znany ptak,
Sama *pierwsza* — to zwierzyna,
Wszystko razem — luby ptak.

III.

Ułożył Wł. H. Lichwin.

Od wargowej się zaczyna litery,
A całość ma zgłosek cztery.
Pierwszej dzieci używają.
Kiedy nas rade witają,
Jeśli chcesz wiedzieć *drugiej* nazwisko
W „Elementarzu“ poszukaj blisko.
Trzecia i pierwsza drzewo oznacza,
Kościoły wiejskie zwykle otacza.
Nakoniec *trzecia i czwarta* zlana,
Jest na okrętach najlepiej znana.
Całość — już o to niech nikt nie pyta.
Całość — to imię — i na tem kwita,

Logogryf.

(ułożył Józef F,)

Z następujących głosek ułożyć wyrazy, ktorych początkowe i końcowe litery, czytano z góry na dół, dadzą imię i nazwisko znauego powieściopisarza i tytuły dzieł jego:

a, a, ak, ar, cy, cy, cha, cho, cze, cze, czy, czot, e, ga, ge, gi, ha, i, in, ja, je, kar, kon, kró, kry, ku, kuł, lu, lew, me, mi, mia, mien, mir, mo, na, ne, niu, nium, noc, ny, racz, re, rem, rent, ro, ru, ryj, ry, ryk, ryk, rya, ska, sty, sy, su, te, to, tor, ty, ty, za, za, zie, wik.

1. Miasto starożytne w Palestynie.
2. Kruszec.
3. Tytuł powieści tegoż powieściopisarza.
4. Nazwa właściciela gospodarstwa rolnego.
5. Część ustawy.
6. Drzewo.
7. Danina.
8. Podatek.
9. Imię księcia ruskiego.
10. Imię męskie słowiańskie.
11. Naród starożytny.
12. Tytuł powieści tegoż powieściopisarza.
13. Imię żeńskie greckie.
14. Imię męskie.
15. Tytuł powieści tegoż powieściopisarza.
16. Nazwa urzędu w dawnej Polsce.
17. Przyjaciel Mickiewicza.
18. Tytuł powieści tegoż powieścioaisarza.

Logogryf.

Z cytat: a, a, ar, bald, brach, ci, cze, cha, cya, chry, dank, dye, dry, go, hab, im, in, kie, ko, ko, ło, łoj, ma, mic, mosz, na, no, now, pian, pol, pro, pu, re, ski, tem, tra, u. wi, wicz, za, zan.

Ułożyć 13 wyrazów, których pierwsze i ostatnie litery, czytane z góry na dół, dadzą imię, nazwisko i tytuł znanego powieściopisarza, Krakowianina.

Znaczenie wyrazów:

1. Poeta polski XIX wieku.
2. Najwznioślejszy ustęp z „Dziadów“.
3. Najpóźniejszy kwiat jesienny.
4. Herb polski.
5. Tytuł powieści E. Orzeszkowej.
6. Roślina lecznicza.
7. Rzeka w Azyi.
8. Miasto w Turcyi europejskiej.
9. Ekonomista i historyk polski XVIII wieku.
10. Imię męskie.
11. Dopływ Prutu.
12. Poeta polski XVI wieku.
13. Półwysep w Azyi.

Rozwiązania z Nru 36.

Rebus: Podanie mówi, że zła ptaka skamieniała staje się bursztynem.

Szarady: I. Powała. II. Kołomyja.

Łamigłówka: Gołuchowski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: W. Hałdziński Lichwin, M. Arbesbauer Lwów, Karol Nappe Horodenka, B. Ramułtowa Jeżów, Jan Biegoń Ślemień, A. St. Bassara Niwiska, M. Opolska Czarny Dunajec, T. Domain Sanok, Czytelnia „Tow. Szkoły Ludowej“ w Kołaczycach. S. Samueli Limanowa, A. Najkowski Łańcut, L. Rogalski Mikulińce. Józef Kobylański w Czerkasach.

Nagrodę przez losowanie otrzymała Czytelnia „Tow. Szkoły Ludowej“ w Kołaczycach. Prosimy o nadesłanie 5? halerzy na koszta przesyłki.

Zwracamy uwagę, że do losowania mają tylko prawo prenumeratorzy „Nowości illustrowanych“. Nie prenumeratorzy więc nie mogą otrzymać nagrody, chociaż dobrze wszystko rozwiążą.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14

Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis"



Właściciel: A. MUSIOŁEK
założony w roku 1897.
Sklep: Kraków, ul. Sławkowska 16.
Hodowla i skład zwierząt:
Zwierzyniec „Willa Wisła".
Menażerya i własny park zwierząt w „Parku Krakowskim" poleca się nadal Szan. PT. Publ. Cenniki bezpłatnie za nadesł. 5 hal. marki. Młode Bernhardy od 20 zł. Foxterriery, Jamniki, różne rasowe kury, angora koty, kolibry, papugi, harceńskie kanarki, złote rybki, oswojone małpki i t. d. — Bardzo tanio wypycha się ptaki i zwierzęta.
waga: Około 20-to letnie praktyczne doświadczenia, jakoteż dokładna znajomość fachowa, nabyta w kraju i zagranicą, dają mi możność uskutecznienia starannego, wszelkich poleceń w zakres hodowli i sprzedaży zwierząt wchodzących, po najniższych cenach jak dotąd tak i nadal.

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik Instrumentów muzycznych oraz różnych ZABAWEK





A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-59

Spłaty częściowe!



dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE"
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.
Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.
By ujść pomyłkom, prosimy na adres dokładnie zważać.
Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre"
Lwów, Sykstuska 6.

Kamienica piątrowa
na Grzegórzkach, z ogrodem, w którym wiele drzew owocowych — do sprzedania z wolnej ręki. — Bliższych wiadomości udzieli właściciel Jan Woźnicka, Grzegórzki 57.

Fabryka wyrobów wełnianych w Kętach, założona 1867 r.
Firmy: **F. & E. Zajączek i Lankosz**
poleca: **sukna, sieraczki**, najmodniejsze **kamgarny i korty** wyrobu własnego oraz oryginalne angielskie. **koce, derki, filce dywanowe, flanele wstąpione, wełnę** do watowania i wszelkie **podszewki**.
Składy: we **Lwowie**, ulica Teatralna l. 3, w **Krakowie**, Rynek gł. 44, linia A-B dla sprzedaży hurtowej i drobiazgowej.



URZĄDZAM
Dzwonki elektryczne i telefony
z gwarancyą roczną
po bardzo niskiej cenie
pracownia mechaniczna
Stanisława Leśniakowskiego
ul. Grodzka l. 48, obok kościoła św. Piotra.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2
róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

Jak **ZA DARMO**
zegarek nikl. z napisem system Roskopf Patent z pięknym łańcuszkiem złr. 1·70, zegarek stalowy złr. 2·—, zegarek srebrny system Roskopf Patent złr. 4·—, zegarek złocisty system Roskopf Patent złr. ·50. Budzik świecący w nocy złr. 1·50. Zegarek złoty złr. 9·—. Łańcuszki srebrne od złr. 1·—. Gwarancya 4-letnia. Wrazie niespodobania się, wymieniam bez trudności na inny przedmiot. Zamówienia z prowincyi uskuteczniam odwrotną pocztą.
S. Zahn, Kraków, Floryańska 31.
Dostawca związku ck. urzędnik. państwow.

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator"
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.
Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K.
Pojedynczy numer 50 hal.
Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich
Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

Wdowa
po Leonie Wieczorkowskim zawiadamia Szanowną P. T. Publiczność, iż będzie nadal prowadziła pracownię tapicerską wraz z synem,
ul. Mikołajska l. 16
N. WIECZORKOWSKA.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow.** **zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.
F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

Lodownie pokojowe,
Lodownice amerykańskie,
Formy na lody,
Siatki druciane od much,
Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.

INSTALACYE i BLACHARSTWO
wodociągi, ogrzewania, gazowe oświetlenia
wykonuje fachowo, praktycznie i tanio, konc. firma:
Julian Tokar, Kraków, św. Jana 10 (Grand Hotel)

„Merkury" GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA
Adres: Administracya „Merkurego" w Krakowie, Rynek gł. l. 5.
Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.
Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.
Bezpłatne dodatki.
Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Rządowo uprawniona
FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.
i specyalnych leczniczych, pod firmą
K. RZĄCA I CHMURSKI
w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.
Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez też Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litowa, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.



Kolibry . . . od 1—2 złr.
Papużki małe od 1·50—3 „
Papużki średnie od 4·50—7 „
Papugi duże. od 10—25 „
Papugi duże mówiące od 28 „
Kanarki herceńskie od 6 „
Rasowe psy
u K. Waltera L. 31
ulica Sławkowska
przy plantach w Krakowie.

Niema więcej cierpień rupturowych
dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: S. Mittelmann
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.

CUKIERINA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdzielkolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.
Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.